

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2014/2



BUNKIER | CZARNA KAWKA | FARMA
KRWOTOK | MASKA POWIETRZNA
POTWÓR Z SZAFY | SĄSIAD | SREBRNIKI
UWODZICIELSKIE SZALEŃSTWO | ŻYWNOSĆ

SPIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
BUNKIER	Antoni Nowakowski	5
CZARNA KAWKA	Marek Zychła	18
FARMA	Arkadiusz Nowakowski	35
KRWOTOK	Francis Violento	44
MASKA POWIETRZNA	Olga Kaczmarek	60
POTWÓR Z SZAFY	Inga Gumieniak	67
SĄSIAD	Norbert Góra	74
SREBRNIKI	Maciej Zawadzki	86
UWODZICIELSKIE SZALEŃSTWO	Tomasz Wójcik	92
ŻYWNOŚĆ	Kornel Mikołajczyk	97
Miniporadnik		106

Redakcja: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Projekt okładki i skład: Roman Panasiuk

Ilustracje: Roman Panasiuk, Kornel Nurzyński, Maksymilian Skrouba

Korekta: Dagmara Adwentowska

email: magazynhisteria@gmail.com

Witajcie!

Skoro czytacie te słowa, wiecie już, że Histeria nie była jednorazową przygodą. Od momentu wydania pierwszego numeru wiele się zmieniło. Mamy już stronę internetową, a także ćwierkamy na Twitterze. Nawiązaliśmy współpracę z kolejnymi partnerami, dzięki którym coraz więcej osób wpada w Histerię. My sami w tym czasie wiele się nauczyliśmy. Skład redakcji uległ zmianie. Pojawiło się kilka nowych osób. Ten zastrzyk świeżej krwi sprawił, że jesteśmy coraz lepsi.

Oprócz opowiadań mamy dla Was nową rubrykę. „Wyznania Histeryka” to próba przybliżenia sylwetki autora najlepszego tekstu poprzedniego numeru. Tym razem bohaterką jest Inga Gumieniak. Na deser polecamy Miniporadnik dla debiutujących pisarzy.

Mamy świadomość, że każdy szanujący się fan grozy zawsze cierpi na jej niedobór, niezależnie od przyjmowanej dawki, dlatego wracamy po dwóch miesiącach z nową porcją czerwonych kapsułek, które rozwiążą ten problem. W opakowaniu znajduje się ich dziesięć, a każda z nich jest przepustką do krainy obłądu. Chcesz odwiedzić szpital psychiatryczny? Wejść do szafy, z której wydobywają się dziwne dźwięki? Zatańczyć w rytmie uwodzicielskiego szaleństwa? Zażyj je.

Pozdrawiamy,
Histeryczna Redakcja



WYZNANIA **HISTERYKA**



Inga
Gumieniak

Mam 30 lat i jestem szczęśliwą mamą 3,5-letniej Toli. Mimo tego, iż pisanie to moje powołanie, najbardziej spełniam się w roli matki. Piszę bardziej dla siebie i traktuję to jako hobby.

Dlatego bardzo miłym zaskoczeniem dla mnie było to, że moje opowiadanie zostało wybrane przez czytelników Magazynu Histeria jako najlepsze. Być może ten bodziec pociągnie mnie do dalszego, bardziej kreatywnego działania na tej płaszczyźnie.

*Pozdrawiam wszystkich czytelników.
Iga*

Skąd pomysł na opowiadanie „Z pamiętnika kame-rzysty”?

Witam. Projekt był realizowany na podstawie przesła-nego skryptu, który z kolei był wizją Pana Łukasza Kielbasy, jednego z założycieli Wydawnictwa Alter Manes. W przeszłości w trakcie snu nawiedzały go koszmarne wizje, które ja wraz z innymi autorami książki „Horror na Roztoczu” opisaliśmy z oddaniem najdrobniejszych szczegółów.

Jak wyglądała praca nad tekstem?

Praca nad tekstem zajęła mi około trzech dni, a raczej trzech wieczorów. W związku z tym, że jestem mamą, musiałam pisać po nocy. Robiłam sobie małe przerwy, w trakcie których gotowałam córce zupkę lub sprzątałam zabawki. Powiem szczerze, że pomysł opisanego kosmaru Pana Łukasza bardzo mi się spodobał i nigdy wcześniej nie tworzyłam z takim zapalem i zaangażowaniem.

Co sprawiło Ci największą trudność w czasie tworzenia opowiadania?

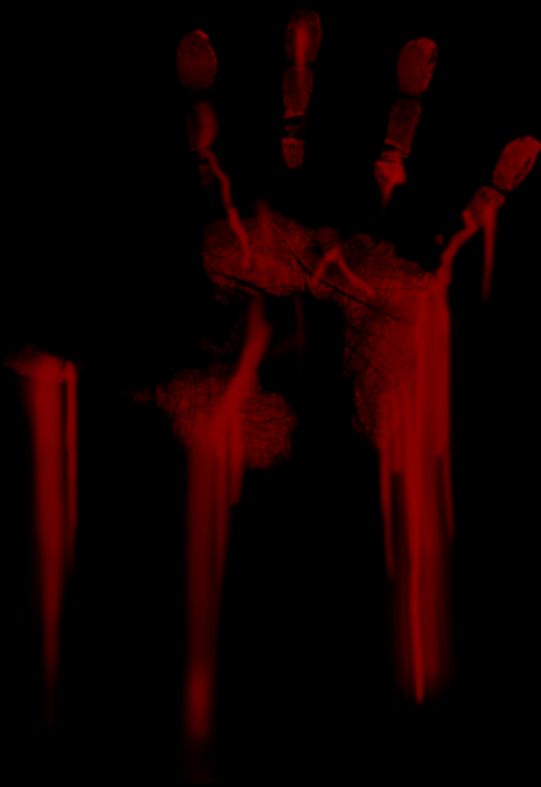
Nie miałam żadnych trudności z napisaniem tekstu.

Skąd czerpiesz inspiracje do pisania?

W tym wypadku inspiracją do napisania opowiadania były wizje Pana Kielbasy, jednakże w przypadku innych opowiadań tego typu wygląda to tak, iż pomysły od razu same pojawiają się w mojej głowie. Nie mam takiej potrzeby, żeby wcześniej się do mojej pracy w jakiś szczególny sposób przygotowywać. Piszę od małego. Z początku były to wiersze i krótkie opowiadania napisane na starej maszynie do pisania, którą po pewnym czasie zastąpiła klawiatura. Obecnie piszę także bajki dla dzieci.

Z czym kojarzy Ci się słowo histeria?

Kojarzy mi się z obłędem, który wkrada się do naszego umysłu i nie sposób nad nim w żaden sposób zapanować. Pod wpływem emocji człowiek zdolny jest do popełnienia różnych makabrycznych zbrodni, a gdy emocje już opadną, pamięta tylko paniczny strach i histerię...



rys. Roman Panasiuk



BUNKIER

Antoni Nowakowski

Pamiętam, że Saszka uważnie obejrzał klamry od pasów. Znalazłem je w tym przeklętym bunkrze, zaraz przy wejściu. No i pistolet.

Saszeńka parabelkę na bok odłożył, ale aż mlasnął z uciechy, jak ją zobaczył. W dobrym stanie przetrwała, leciutko przerdzewiała, a okładziny kolby miała nietypowe – drewniane. No i ten grawerunek na zamku... Od razu było widać, że pistolet specjalnie podszykowany, dla jakiegoś wyższego oficera. Może prezent albo nagroda za zasługi?

Germańcy do takich rzeczy mają sentyment, pielęgnują pamięć o rycerskich żołnierzach Wehrmachtu – i za specjalne wyroby sporo płacą.

– Niemieckie – zawyrokował Saszeńka. – Trochę się odczyści, odpucuje – i powędrują w świat. Za takie drobiazgi dużo nie zapłacą, ale zawsze parę tysiączków dodatkowych rubelków nam się przyda.

U nas, na Białej Rusi, pieniąż słabo stoi. Cóż począć, może kiedyś kurs się podniesie. Niby wiele za zwykle rupiecie nie weźmiesz, ale, jeżeli dużo ich masz, sporo banknotów uzbierasz.

Jasne, że od razu było widać, że klamra hitlerowska. Ten ich orzeł, napis „Gott mit uns” – wiadomo, nazistowska. Na pierwszy rzut oka poznasz. Ale Saszka naprawdę interesował się militariami – i nie tylko tym. Dużo czytał i wiele wiedział. Niby wszyscy dawno już poznaliśmy, co ile jest warte, ale to Saszeńka wszystko oceniał i kwalifikował.

Dużo umiał – uczył nas, jak złote i srebrne korony z zębów wyciągać, a potem w sztabkę przetopić. Specjalne szczypce do wrywania załatwił. Rodzaje punc jubilerskich na sygnetach i pierścieniach na pamięć znał. I od razu odpowiednią cenę dobierał. Sasza kierował nami. Szef, lider – nigdy do niego tak nie mówiliśmy, ale we wszystkim słuchaliśmy – bo właśnie on wymyślił i rozwinął nasz biznes. Szybko zrobił z niego całkiem poważny interes. Nigdy się nie mylił. Nabój do mosina od pocisku do mausera rozróżniał z zamkniętymi oczyma, dotykiem palców. Z bagnietami – tak samo było. O doprowadzeniu takich wojennych śmieci do stanu nowości też sporo się nauczył. Właśnie Sasza wpadł na pomysł, żeby stare hełmy, bagnety, ładownice, znaki rozpoznawcze, taśmy amunicyjne i co tam nam wpadło w ręce sprzedawać turystom. Po renowacji, jak to określał.

Wtedy interes naprawdę ruszył... A Sasza go rozkręcał. Mieliliśmy zaiste bogate źródło pozyskiwania zdobyczy. Istne Klondike – umocnienia blokujące wyjścia z bagien poleskich. Fortyfikacje polskie, niemieckie, sowieckie... Cmentarze wojenne i zapomniane, pojedyncze mogiły... Najpierw Lachy umocnienia budowały, potem przyszli czerwoni i też swoje schrony wzniesli, a na końcu Niemcy uzupełnili panzerwerkami.

Powiem tak: u nas, na Białej Rusi, żyje się spokojnie. Cicho, bez nerwów, a starsi ludzie mówią, że po bożemu. Czasami patrzę w swój laptop i czytam, że u nas zacofanie. Ciemnota – i niczego nie można kupić, tylko zapalki, naftę i sól. Bzdura. Kupić możesz wszystko – tak jak ja nabyłem komputery, samochody, dom piękny wybudowałem – tylko musisz mieć pieniądze. Tak dużo, że jak je za rubaszkę włożysz, pomyślą, że w ciąży jesteś. Najlepiej mieć walutę zachodnią. Dolary, euro... I rosyjskie ruble. Polskie złotówki przy wymianie też wysoko stoją. Wiadomo, w banku oszukują, prowizję sobie liczą, opłaty, ale – wyjdiesz na swoje.

A turystów niemało... Dużo Lachów przyjeżdża, poleskie błota i bagna odwiedzają, śladów przeszłości szukają. Łasi są na pamiątki. No i portfele mają zasobne, nie powiem.

Na poważnie zaczęło się tak. Trzech nas druhów było – ja, czyli Grisza, Sasza i Stiepan. Nazwiska nieistotne. Po co komu je znać? Nazwa naszej wioski też nieważna – niech ludzie żyją sobie spokojnie... Saszka któregoś wieczoru, kiedyśmy w trójkę siedzieli przed artelowym sklepem, zebrał wszystko do kupy.

Powiedział wtedy tak:

– Sokoliki wy moje, my na tych wojennych pamiątkach zrobimy majątek... Uczciwie, jak Bóg przykazał.

Oczy mu błysnęły.

– Jest towar, są kupcy – ciągnął. – Trzeba tylko się postarać, żeby poważne produkty znaleźć, a nie jakieś barachło. Fatyga niewielka, zysk pewny.

Na początku sprzedawaliśmy stary asortyment: łuski, porzucone naboje, hełmy, saperki, manierki... Bagnet znaleźliśmy – radość nieopisana. Karabin w dobrym stanie – święto wielkie! Wydawało się nam, że sporo zarabiamy, ale jeszcze nie wiedzieliśmy, gdzie kryje się prawdziwe Eldorado. Towar jednak schodził. I stali kupcy nas już odwiedzali. Sytuacja się zmieniła, kiedy Stiepan w zapuszczonym tradytorze artyleryjskim znalazł dwa kościotrupy. Chłopak z niego był niewysoki, szczupły, w podziemnych chodnikach bobrować lubił. Weszliśmy za Stiopą, patrzymy: kości gładziutkie, czaszki wypolerowane, jakby ktoś – albo coś – kiedyś tam dokładnie całą resztę ciała wyjadł, a potem pozostałości wylizał...

Zbytnio na szczątki nie zwracaliśmy uwagi, bo w świetle latarki zobaczyliśmy, co jeszcze z truposzy zostało: dwie złote papierośnice, srebrna zapalniczka, zegarek, też złoty, pióro wieczne, medaliki, znaczki rozpoznawcze... No i portfel, a w nim legitymacja, listy, zdjęcia, papiery. Medaliki piękne, pańskie, na czaszkach hełmy z orłami. Jeden z kościotrupów w dłoni pistolet ścisnął. Po co, na kogo – już nie wiadomo.

Saszy aż oczy się zaświeciły.

– Vis – powiada. – Dobra broń, rzadka, korozji zbytnio nie uległa. Prawie rarytas kolekcjonerski.

Na dziurę w ścianie tunelu w ogóle nie zwróciliśmy uwagi. A powinna nas zdziwić... W betonie, kilkadziesiąt metrów pod ziemią, wyłom na chłopa wielki. Stiopka skwitował, że widocznie cement w tym miejscu źle położono, nie związał się, a potem Lachom czasu zabrakło, żeby budowlaną fuszerkę naprawić. Przed kim oni się w tym chodniku bronili albo uciekali – też się nie zastanowiliśmy... Zebraliśmy wszystko – i na górę. Sasza popatrzył, głową kiwnął – i mówi:

– Głupcami się okazaliśmy, ale – ten okres właśnie zakończyliśmy. Na tym dopiero zarobimy, zobaczycie. – Palcem w portfel pękaty postukał. – Od dzisiaj takich rzeczy szukamy. Giwera stara w ręce wpadnie – odrestaurujemy, opylimy. Ale te graty... – wziął w rękę legitymację ze skórzanego pularesu z herbowym znakiem – to dopiero jest coś!

Przyjechali stali odbiorcy – dorobiliśmy się już takich. A Sasza zza pazuchy dobrze zachowaną legitymację polskiego krzyża, Virtuti Militari, za wojnę z bolszewią w dwudziestym roku wyciąga – i mówi:

– Popatrz tylko, bratku! Cymes! Rzadko spotykane! – Dokument pod nos zbieraczowi podtyka. – A stan – idealny.

Saszka, jak wspomniałem, sporo czytał. Język polski opanowywał. Gadanie Lachów do zrozumienia nietrudne, do nauczenia też.

Zbieracz – tak ich nazywaliśmy, ale wiedzieliśmy, że później nasze łupy u siebie ze sporym zyskiem sprzedają – oczy tylko zmrużył i pyta:

– Ile chcecie?

– Sto dolarów – Saszka odpowiada – tylko za ten dokumencik o orderze. Nie pożałujesz: ty i tak z trzykrotnym przebicciem go sprzedasz. O reszcie po kolei sobie pogadamy.

Pierwszy raz porządnie obłowiliśmy się. Wzięli towar od ręki. Zostawili specyfikacje, co ich najbardziej interesuje. Zaraz potem Saszka podzielił role, a do mnie powiedział tak:

– Griszka, odpowiadasz za topografię obszaru badawczego. Szukaj nowych miejsc eksploatacji: bunkrów, przede wszystkim mogił i cmentarzy polowych, zapomnianych okopów. Szkice wykonuj, oznaczaj dojścia. Szybko będziemy mieli pól eksploatacyjnych tyle, że na lata starczy...

Saszka fachowe książki archeologiczne studiował. Rozwijał się, a my razem z nim. Poważnie już sprawę traktowaliśmy, bo nielichy pieniądz płynął. Stiepan raz w miesiącu dołą komendantowi miejscowego posterunku odpalał, żeby oko przymykał. Niebawem szefowi sił bezpieczeństwa w oblasti też podarek regularnie dostarczaliśmy – ale nie żalowaliśmy. Spokój pracy się liczył.

Zapytacie, czemu Sasza taką wagę do cmentarzy polowych przywiązywał? Pomyśleć trochę trzeba: swoi poległych kolegów nie łupią. Połowę nieśmiertelnika tylko się bierze, drugą część między zęby wsadza, albo w brzuch, jeżeli rozpruty. Ze wszystkim zabitego na polu chwały grzebią – z pasem, butami, sygnetem, medalikiem, zapalniczką, papierośnicą, zębami złotymi w szczęce, odznaczeniami. Z całym kolekcjonerskim i jubilerskim bogactwem, teraz dużo wartym.

Otrzymałem ważną funkcję – wyszukiwacza, jak to Saszka określał. Staralem się. I, jak na początku napisałem, znalazłem ten bunkier – z dwoma kościotrupami Niemiaszków przy wejściu. Ucieszyłem się. Nowy obiekt, co najmniej dwukondygnacyjny, a na górze sterczą trzy kopuły pancerne. No i zaraz dobre znaleziska, całkiem bez wysiłku, za frajer. Znowu nie zwróciłem uwagi, że te szkieleciska takie wypucowane jakby... Wyssane. No i lśniące, jakby ktoś ciągle je lizał. I na to, że Niemcy na zewnątrz chcieli się wydostać. Fryce uciekały, a bunkier przecież bezpieczeństwo zapewnia.

O jednej sprawie zapomniałem powiedzieć – gdzie ten wielki schron się znajdował. W przejściu wiodącym przez Mroczne Trzęsawisko. Czarne Topielisko, Ciemne Grzęzawisko, Topiel – różnie je nazywają.

Rozległe bagno, kilometrami się ciągnie, a ludzie twierdzą, że bezdenne jest. Starsi powiadają, że gdzieś głęboko istota z samego początku istnienia świata spoczywa. Jeszcze ciągle soki wydziela, rozkłada się, dlatego oparzelisko nigdy, nawet w najbardziej upalne lato, nie kurczy się. Upał tylko proces gnilny przyspiesza, tak mój dziadek opowiadał.

Niby Mrocznego Trzęsawiska nijak nie przejdiesz. Źle nogi postawisz – w okamgnieniu wciągnie. Muł ci gardło zatka, potem nos – i koniec. Szczęście, jeśli modlitwę zdążysz odmówić.

Ale miejscami przesmyki wyższego gruntu można znaleźć. Wąskie, szersze, niektóre nawet jakby wyspy tworzą – nawet wozem przejedziesz. Czołgiem od biedy też.

Dziadek twierdził, że na samym dole żebra tego stwora tkwią. Jednego, kilku... Nie wiadomo. Rzucił się, chciał się wydostać z uwięzi – i twardymi częściami cielska ziemię do góry wypchnął. Myślałem sobie, słuchając starych ludzi, że bajdy snują. Uśmiezek pobłażania kryłem. Teraz taki pewny, że klechdę dawną przedstawiali, już nie jestem...

Takie to miejsca właśnie przegradzano umocnieniami, żeby się do końca zabezpieczyć. Saszka zarządził wyprawę rekonesansową.

Nie tylko sami pracowaliśmy, dorobiliśmy się kilkunastu pomagierów, przynoszących proste produkty: bagnety, magazynki, lornetki i pozostałe wojenne śmiecie – ale cenne. My skupialiśmy się na sprawach najważniejszych: renowacji, nowe pola wydobywcze badaliśmy, wyznaczaliśmy, a jak trzeba, eksploatowaliśmy. Złote korony na zębach, papierośnice, obrączki, sygnety, pierścienie – łakoma rzecz. Lepiej osobiście trupy badać. Dotarliśmy na miejsce, wchodzimy do środka.

Widać od razu, że odkryłem wydajne źródło dochodów. Nie zauważyłem, ale dalej na ziemi szmajser – znaczy, niemiecki pistolet maszynowy – leżał. W strzelnicy obrony wejścia kulomiot tkwi, a z bocznych ścian dwie lufy wystają.

– Żywy pieniądz! – Stiepan podsumował pierwsze wrażenia, dłonie zatarł. – Broń od ręki pójdzie!

Zaraz potem znaleźliśmy te dziury... Wszystkie na wylot. Małe, średnie, a niektóre na chłopą tęgiego wysokie i szerokie. I podziemne chodniki, w ziemi ryte, bez obudowy, ale spoiste niczym skała. Nie wiadomo jak utwardzone, wijące się i wiodące w dół. Ciągłe w dół, jakby prowadziły do trzewi ziemi. *Albo pod Mroczne Trzęsawisko...* Taka myśl od razu mi się nasunęła.

W jeden weszliśmy, bo nie mogliśmy zrozumieć, co napotkaliśmy, ale narastający smród zmusił nas do odwrotu. Fetor, jakby blisko rozkładały się ciała niedawno pochowanej kompanii żołnierzy.

Coś przypomnę.

Dawno przestaliśmy być amatorami. Dobrze już wiedzieliśmy, jak budowano bunkry i schrony. Widzicie, żelbet jest niezwykle mocnym materiałem konstrukcyjnym. Betonem wysokiej klasy zalewa się grube pręty stalowe, przemyślnie ustawione. Płyty pancerne do środka wkłada... Stropy i ściany w tym bunkrze wzniesiono grubaśne – na dwa-trzy metry z dobrym okładem. Ciężki pocisk ze sto pięćdziesiątki piątki: armata takiego kalibru, znaczy – w ścianę tej grubości uderzy

i zrobi tyle szkody, jakby komuś dać porządnego klapsa w tyłek. Nie przebiję – kilkunastu trafień trzeba.

A tu dziurska w ścianach – jedno na pięść szerokie, inne – głowę swobodnie wsadzisz, a kilka takich, że cały bez schylania się zmieścisz. No i te korytarze dziwaczne. I ten zapach straszny, oddech tamujący, nieopisanej intensywności...

Chrystusie przenajświętszy, co to jest? Czyżby stare podania prawdę mówiły?

Patrzę na Stiepana, on na mnie, i widzę, że jedna i ta sama myśl przyszła nam do głowy – wycofać się, więcej tu nie wracać. O wszystkim zapomnieć. Paręnaście min przed wejściem ułożyć i tabliczki z odpowiedni napisami w ziemię wetknąć.

Ale Saszeńka inaczej na sprawę spojrział...

– Sokoliki wy moje – powiada. – Ja myślę, że Wielkorusy miniładunki nuklearne tutaj wypróbowały. Miejsce sposobne, od siedzib ludzkich daleko, a mocniejszych ścian ze świecą nie znajdziesz.

Rozumiecie, Wielkorusami w naszej okolicy sąsiadów ze wschodu nazywają.

– Może niżej coś wybudowali, jakiś tajny obiekt – ciągnie, a oczy mu błyszczą. – Pewnie stare materiały chemiczne cuchną. Maski założymy i zbadamy – może wartościowe znaleziska odkryjemy.

Z Saszy zakamieniały racjonalista był, wszystko potrafił naukowo wytłumaczyć. Jeżeli nawet opowieści o Mrocznym Trzęsawisku słyszał, tylko ręką lekceważąco machał. Od kiedy wiedzę zaczął uzupełniać i książkami całą ścianę w domu zastawił, jeszcze bardziej materialistycznie na świat patrzył. Trochę mnie i Stiepana przekonał, a poza tym – wiedzieliśmy, że i tak sam pójdzie. A jeżeli na coś cennego się natknie, tylko jego będzie.

Szkoda mi było tych zysków utracić.

– Dobrze, Saszka. – Głową kiwam, widzę, że Stiepan też. – Przecież nikt nas tutaj żywcem nie zje...

Sam o tym nie wiedząc, prorocze słowa wypowiedziałem.

Do bunkra wybraliśmy się dwa dni później. Wzięliśmy lampę górniczą, w latarkach wymieniliśmy baterie, w maskach pochłaniacze. Buty i spodnie odpowiednie wdziliśmy.

Coś mnie tknęło – może Anioł Stróż szepnął słówko do ucha – i zabrałem emgie. Wiecie, skrót taki od wyrazu „maschinengewehr”, używany przez Niemców. Prima sort broń, szybkostrzelna, lepszej nie znajdziesz. Szykowałem ją, żeby za Odrę przerzucić. Też już

wiedzieliśmy, jak sobie z taką sprawą poradzić. Z wielu gruchotów jeden sprawny składałem – cena takiego okazu niebotycznie rosła.

– Stracha masz? – Sasza kpiąco mnie pyta. – A przed czym to, gołąbeczku?

Spokojnie odpowiadam, że przy Mroczej Topieli okolica bezludna, pożyteczne z przyjemnym połączymy, broń się sprawdzi i przestrzela.

Jednego żałuję – jeden tylko odcinek segmentowej taśmy zabrałem, ledwie pięćdziesiąt nabojów. Więcej przydałoby się, oj, więcej... Dobra, już nieważne...

Wchodzimy do środka, Sasza od razu wysoki tunel do penetracji wybrał. Idziemy – Saszka na czele, ja w środku, Stiepan zamyka szyk. Schodzimy w dół, chodnik raz zakręca w lewo, potem w prawo, ale łagodnie. Żadnych ostrych załamań pod kątem prostym, tylko się wiję. Betonu nad głową i po bokach nie widać, ziemia, ale twarda taka, że nóż nie wchodzi. Ostrze się złamało, kiedy swoją finką mocniej nacisnąłem.

Śmierdzi jak w piekielnym szambie, ale powiew jakiegoś wiatorku twarz muska. Oddychać można swobodnie. Sasza też przeciąg zauważył, przystanął i mówi:

– System wentylacji nadal działa. – W świetle latarki widzę, że zuchowato uśmiecha się. – Nie jest źle. Zaraz sprawdzimy, co pod tym bunkrem powstało.

Śmiało ruszył przed siebie. Parę metrów dalej tunel ostro zaczął iść w dół. Niby do tej pory ciągle schodziliśmy coraz niżej, ale przesmyk w ziemi łagodnie się obniżał. A teraz, nagle, gdzieś tak pod kątem sześćdziesięciu stopni w głąb spadał – może do jakiejś czeluści...

Wówczas dopiero rozpoznałem ten skondensowany smród. Poczulem fetor Mrocznego Trzęsawiska... Nasze bagno zawsze nieprzyjemnie cuchnęło, takim specyficznym odorem. Raz mocniej, innym razem słabiej. Ale, wiadomo, wietrzyk wieje, otwarta przestrzeń – woń się rozchodziła, słabła. No i człowiek od maleńkości się do niej przyzwyczajał. Ale – tutaj zapach ten sam, tylko wielokrotnie silniejszy, płuca zatyka, gardło jak stryczkiem dławi.

Wtedy zobaczyłem tę mackę. Odnogę ciała, wypustkę olbrzymią – do dziś nie wiem. Podrygując, wyłaziła z głębi tunelu. Tak jakby dżdżownica pełzała, tylko że od chłopca rosłego wyższa. Przeklęta, przyśpieszała! W snopach światła latarek dobrze ją widziałem.

– Uciekać! – Sasza wrzeszczy. – Chryste panie, co to jest?!

Biegniemy z powrotem, ile tchu w płucach, ile sił w nogach. Przewieszona przez ramię emgie po żebrach tłucze, oddech zabiera. Chodnik drgać zaczyna, ziemia na głowy się osypuje. Tupot, coraz szybszy, za plecami słyszę.

Goni nas, swolocz przeklęta – myślę – zeżreć chce. Niedoczekanie twoje, gadzino.

Odwróciłem się, lufę o ramię Stiepana oparłem, serię puściłem. Wolniej teraz tupie ta macka cholerna – trafiłem!

– Uciekać, chłopaki, uciekać, jeśli wam życie miłe! – Sasza znowu się drze. – Już niedaleko!

I rzeczywiście – owal mdłego światła widzę, wyjście do przedsionka bunkra przez tę dziurę, w którą nieopatrznie wleźliśmy. Ale już nie tak daleko. Aż mi z radości serce do gardła skoczyło, jak ten widok zobaczyłem. Wpadamy do pomieszczenia paręnaście kroków od wyjścia, do świata ludzi, natury, oddalonego o ledwie kilkanaście stąpnąć. A tu Stiepan osuwa się na ziemię. Ręce mu drgają, nogi, białe jak kartka papieru. Oczy wybałuszone, nieprzytomne.

Szok – w ułamku sekundy myśl taka mi mignęła – *chłopaka dopadł*.

Sasza lepiej wyglądał – o ścianę się oparł, dyszy ciężko, pot mu z twarzy się leje, ale dochodzi do siebie. Sam pewnie też podobnie wyglądałem...

Siły zebrałem, wrzeszczę:

– Chłopaki, wychodzimy! Zbierzcie się w kupę!

Za późno... Dwie, trzy minuty za późno. Macka przeklęta z chodnika się wynurzyła, Saszeńkę w pasie chwyciła, owinęła się wokół ciała – i ciągnie do środka. Krzyczy chłopak, wije się, nogami macha – a ona go za ścianę przesuwają. Druga macka, z innego otworu, mniejsza, gardło Sasze krępuje, do oczu sięga. Druh wrzeszczy przeraźliwie, bo potwór gałki oczne mu zżera.

Chryste panie! Zmartwiałem.

Myśl taką miałem, w głębi umysłu się pojawiła: *Strzelaj, Grisza, strzelaj!* Ale jak? Chłopaka ubiję. Przymierzyłem, ale broń opuściłem – nie miałem szansy mu pomóc... Krzyk ucichł, a Saszka zniknęła... Wtedy myślałem, że bezpowrotnie.

Odetchnąłem... Szczerze piszę, bez lukrowania. Sasza przepadł, ale nic nie mogłem zrobić. Nic... Stało się. Mogłem stać tam, gdzie on – mnie by jego los spotkał. Myślałem, że już koniec wszystkiego. Gdzie tam... W jednej chwili druga ściana pęka, otwór się tworzy. Pomyślcie, półtora metra żelbetu jak plastelina ugięło się pod naciskiem kolejnej macki. Drugiej istoty?

Z dziury wysuwa się coś cieńszego, czarnego, Stiepana za gardło chwyta, dusi – i do ust zachłannie sięga. Biedak, bezwolny niczym kukła, chyba nic z wcześniejszej sytuacji nie widział. Wybudziła go z otępienia, bestia jedna. Stiopka charczy, też rękoma młynkuje. Drugie ramię z kolejnej dziury wystrzeliło, już go żre żywcem. Błyskawicznie odzież rozerwało, widzę, jak kawały mięsa wyrwa. Paszczy żadnej nie widać, ale Stiepanowi krew obficie płynie.

Nie – pomyślałem. – *Kurwo przeklęta, jebańcu zasrany, tak łatwo ci nie pójdzie. Jednego druha dostaliście, ale drugiego wam nie dam.*

Trochę już odetchnąłem, nieco sił odzyskałem. Z emgie wycelowałem, serię wystrzeliłem. Trafiłem w tego gada, co gardło Stiepanowi dusił. Gada? Nie wiem, co to było – i już nie chcę wiedzieć. Ale widzę, że się cofa. W cieńszego przymierzyłem, a ta swolocz podziemna już zdążyła Stiopce język wyrwać. Policzki łakomie mu obgryza.

Boże, zmiłuj się, za nasze grzechy chyba nas wtedy pokarałeś... Religijny się potem zrobiłem – nie dziwicie się...

Jeszcze jedną serię puściłem. Macka cofnęła się, wolno się rusza, widać, mocno dostała.

Dobiję gada – myślę sobie. – Do waszego piekła wyślę, żebyś zgnił.

Patrzę – taśmy z boku zamka już nie ma. Patronów zabrakło.

Twarz z potu ocieram, myślę, Stiepanowi trzeba pomóc. Ratować. A Stiepan już martwy...

Dziura z przodu ciała, wielka, jelit nie widać. Usta szeroko otwarte, a w środku – pusto. Zamiast oczodołów – skrzepy krwi. Jak dziecko rozplakałem się.

Rankiem śmiało do Mrocznego Trzęsawiska szliśmy, na wielkie zyski licząc, a teraz sam na świecie zostałem. Sam, nie licząc trupa Stiepana – bez języka, oczu i połowy brzucha, z wyjedzoną prawie do szczętu twarzą.

Jedną sprawę wyjaśnię. Nie zamierzałem pisać, co z ciałem Stiopki zrobiłem. Nie chciałem o tym wspominać, ale żal ściska duszę, kiedy o nim myślę. Nadal ściska, choć teraz jest inaczej...

Po tym, jak te stwory podziemne porwały Saszę i ubiły Stiepana, uciekłem. Co miałem robić? W pewnej chwili jednak zatrzymałem się, żeby trochę odpocząć. Papierosem się zaciągnąć... Sześć poszło, jednego od drugiego przypalałem. Nieco ochłonałem – i przemyślałem wszystko.

Trupa Stiopki przy wejściu zostawić – źle. Wcześniej czy później znajdą. Ja bunkier odszukałem, inni też mogą. Ktoś na niego natrafi, władze powiadomi. Śledztwo się zacznie, szperanie, szukanie. Kilkanaście łusek zabezpieczą, na ślady potworów się natkną. Nowe tropy uwagę milicjantów odciągną. Ale, wiecie, jak jest – bliskim druhem Stiopki i Saszy byłem, zacząć pytać, co wiesz, czemu o zniknięciu nie powiadomiłeś, sprawę zataiłeś. Wykpię się, wiadomo, bo prawdę powiem. I powiem, że ja go nie ubiłem – potwory zżarły. Bronilem, z maszynówki strzelałem. Sekcja wszystko potwierdzi. Tunele twierdzenia moje niezbitcie wzmocnią.

Tylko że do interesu wtedy się dobiorą. Skąd takie zarobki masz, zezwolenie uzyskałeś, opłaty wniosłeś, podatki opłaciłeś? A jeszcze zaczną dociekać – z cudzoziemcami konszachty utrzymujesz, umocnieniami się interesujesz, samochody nowe dwa posiadasz... Emgie po co rekonstruowałeś? Może ty szpieg? Albo zamachowiec?

– Powiedz no, bratku, prawdę, jak na świętej spowiedzi – śledczy powie. I zaraz pałę z biurka wyciągnie. Żeby tylko pałę... U nas milicja dobrze jest wyposażona.

Rodzinę powiadomić – jeszcze gorzej. Rwetes, hałas, a efekt – identyczny, tylko szybciej. Udać, że nic się nie stało – tak samo. Za dzień, dwa zaczną pytać:

– Nie wiesz czasem, co z Saszą i Stiepanem się stało? Wyjechali, czy jak? Kiedy wrócą?

Pomyślałem tak: nażarły się, ścierwa, ludzkiego mięsa, głód świeżego pokarmu zaspokoily. Nie zwrócą na mnie uwagi, zajęte smakowaniem Saszeńki. Plan się narodził, prosty, ale innego wyjścia nie miałem. Bóg mnie oświecił, może anioł – stróż, nie wiem.

Pisałem już, że religijny się stałem – i jeszcze raz napiszę. Nie ma się czemu dziwić.

Wróciłem do bunkra. Pusto. Zaraz Stiepana na ramię wsadziłem – patrzyłem tylko, czy na głowie leży czapeczka. Miał. Czapeczkę Saszy też wziąłem – jak ta macka go wciągała, na ziemię upadła. Wyczułem jeszcze, czy butelka w kurtce Stiepana tkwi – i rakiem wycofałem się do wyjścia. Potem trupa nad Mroczną Topiel zaniósłem. Nie tak daleko miałem...

Widzicie, Stiepan piękne nakrycie głowy nosił. Takie dla prominentów: lepszy materiał, ręczne hafty, kolorystyka odmienna. Sporo pieniędzy na nią wydał, ale nie żałował. Od razu było widać, że oryginalny wyrób, nie dla byle kogo.

Klubowa czapeczka Realu Madryt, u nas, na Białej Rusi, jest rzadkością. Wszyscy mu jej zazdrościli, bo ładna, a zdobyć – trudno. Co zrobiłem? Trupa Stiepana ciepnałem w Ciemne Grzęzawisko. Od razu, przy brzegu, głębokie jest – w tym miejscu koń się kiedyś utopił, razem z wozem i gospodarzem. Drewno stary Artiom wywoził, mocno napity był, drogę, jak ślady wskazywały, zmylił. Głaz nieduży przyniosłem, a obok niego czapeczkę położyłem – i butelkę od wódki „Stoliczna”. Dołożyłem jeszcze paczkę „Bielomorów”, z kurtki Stiepana wyjętą, i jego zapalniczkę złotą. Wcześniej palce trupa na szyjce odcisnąłem, w usta wsadziłem, żeby zaschnięta ślina do szkła dobrze przyłgnęła. Czapeczkę Saszki z emblematem Chelsea Londyn ułożyłem obok. W rękawicach pracowałem.

Dziury w ścianach bunkra trochę nas jednak zaniepokoiły, więc Saszka buteleczkę z lodówki wyciągnął. Po drodze on i Stiepan łyknęli sobie parę razy, tak dla kurażu. Ja też, nie będę kłamał. Tyle że osobną piersiówkę niosłem, z greckim koniakiem. Moc swoją ma, a smak dobry. „Stolicznej” nie tknąłem – lepiej różnych gatunków alkoholi nie mieszać.

Plan miałem prosty – do wioski wrócić, z półtora dnia odczekać i larum podnieść.

– Saszka i Stiepan jeszcze nie wrócili? – matki Saszeńki zapytać. – Długo coś nad bagnami siedzą...

Zapytają, czy czegoś nie wiem, z ochotą odpowiem:

– Nad Mroczne Topielisko poszli coś sprawdzić. Wybrałbym się z nimi, ale drewno na opał musiałem rąbać, bo się kończyło.

W naszej wiosce drewnem palą, latem też, ale, znaczy się, w kuchni. Nic nie kosztuje, leśniczemu tylko w łapę raz na jakiś czas dać trzeba. Gazu też można używać, czemu nie, ale – po co płacić? Oszczędzać trzeba, brać darmowe, ludzie tę zasadę rozumieją.

Znajdą pozostałości po Saszy i Stiepanie na brzegu, milicję zawiadomią, ale od razu ktoś orzeknie, co się wydarzyło:

– Chłopaki napili się, tutaj jeszcze jedną flaszką doprawili – i drogę zmylili. Nie w tym kierunku poszli, co trzeba, panie, świeć nad ich duszami młodymi. Nie pierwsi i nie ostatni przez bagno bezdenne trafili do nieba...

Bunkra nie spenetrują – kawałek drogi, a dookoła i tak schronów sporo. Wszystko pasowało – Saszeńka ze Stiepanem nowych wyrobisk szukali.

W tym bunkrze żelbetowym, z dziurami w ścianach, świeże łuski od maszynówki zostały. Ale tam śledczy nie zawitają, naprowadzenia zabraknie.

Sprawdziło się – co do joty. Za parę tygodni dochodzenie umorzono.

Wróć do ostatnich chwil wspólnie ze Stiopką spędzonych. Piorunująco szybko w grzędawisku zniknął – jakby go coś w dół, w mulisko bezdenne ciągnęło. Ręka tylko paręnaście sekund z ciemnej niczym czeluście piekiel toni wystawała. Wyglądało tak, jakby żegnał się ze mną. Łzy oczy zalewały, ale wydawało mi się, że parę razy się poruszyła. Myślę sobie – kości i ciało do spoczynku wiecznego się układają, stygną, to i drgnęły trochę... Tak zdarza się z trupami.

Modlitwę po chrześcijańsku zmówiłem za Stiepana i Saszy dusze. Cóż, myślałem wtedy, że już przed sądem boskim stanęli.

Teraz rozumiem, że się myliłem...

Odwróciłem się, do domu zmierzam. Ale coś mnie tknęło, żeby się odwrócić, za siebie okiem rzucić. Grunt się ruszył, fałdy ziemi do góry rosną, na boki się osypują. Macka z powstałego otworu wyłazi, po zwalony pień drzewa sięga. Ciągnie. Inne odnóża nadal ziemię wyrzucają.

Stwór podziemny, przeklęty, przedwieczny... Kopie, wyjścia na zewnątrz formuje. Pewnie powietrza jednak potrzebują, wentylację sobie rozbudowują. Teraz zrozumiałem, skąd ten wietrzyk w tunelu pod bunkrem się wziął. Drugi pień wywłoka kładzie, strop formuje, do schronu ziemnego upodabnia. Nikt za parę dni nie pozna, że całkiem nowy – trawa wszystko porośnie. A jak ktoś do środka tej budowli wejdzie, macka go w chodnik wciągnie – i zeżre. A ludzie powiedzą, że Mroczna Topiel kolejną ofiarę wessała.

Już za siebie się nie oglądałem, tylko do wsi pobiegłem, ile tylko tchu w piersiach miałem.

Saszy i Stiepanowi piękny pogrzeb urządzone... Symboliczny, ale porządny. W jednej trumnie leżała czapeczka z emblematem Realu Madryt i butelka po „Stolicznej”, w drugiej – czapeczka kibica Chelsea Londyn. Tyle po nich zostało – tak wtedy myślałem. Inni pewnie nadal tak sądzą...

Rozliczyłem się z interesu z rodzinami – uczciwie, co do kopiejki.

A potem, wieczorem, jeszcze raz poszedłem na cmentarz. Niby groby druhów ponownie odwiedzić, spokojnie się pomodlić... Saperkę i latarkę pod marynarką ukryłem.

Widzicie, ja taki akuratywny jestem. Systematyczny. Dociekliwy... W wojsku się tego nauczyłem, w brygadzie spadochronowej służyłem – pluton zwiadu. Tam się dowiedziałem, że na wszystko trzeba uwagę zwracać, a każdy szczegół ma znaczenie. Stąpniez nieostrożnie, na minie wylecisz.

Dzień wcześniej opętanego Aleksieja pochowaliśmy. Samotnie żył, tak jak ja, rodziny nie miał, ale pochówek godny wieś mu sprawiła. Płytko go jednak zakopali, niestarannie – grabarze za mało dostali.

Tak sobie pomyślałem – jednak niewielu ludzi w Mrocznej Topieli ginie. Prawie nikt tam nie chodzi, a jak idzie, uważa na siebie, chyba że napity. Czym się te przeklęte stwory podziemne żywią, jak ludzkie mięso im tak odpowiada? Odpowiedź sama się nasuwała.

Wieńce i krzyż na bok odłożyłem, kopię. Szybko idzie, ziemia jeszcze nieuleżana, sypka. Trumnę odkryłem, teraz z boków piach wyrzucam. Nawet zbyt się nie zmęczyłem. Latarką świecę i widzę, czego się spodziewałem – kilka dziur. Trumna też z jednego boku rzeszoto przypomina, a nie porządną deskę sosnową. Wieko podważam, świecę, patrzę.

Już połowy Aleksieja nie ma... Brzuch mu całkiem wyjadły, widocznie tu najłatwiej do mięsa się dobrać, nogi też obgryzione, twarz prawie nie istnieje, kości policzkowe tylko sterczą. I – takie wylizane, wyciućkane... Może jakiegoś składnika ze szkieletu te stwory podziemne potrzebują, że tak je lubią? Ale sprawa jasna: trupy ludzkie są ich pokarmem, a im świeższe, tym bardziej smakowite.

Grób zasypałem, kwiaty, jak trzeba, ułożyłem. W domu na wszelki przypadek piwnice sprawdziłem, czy otworów w murach nie ma. Ale tak bez przekonania, z ostrożności. Pewnie, że jestem jedynym żyjącym człowiekiem, znającym tajemnicę Mrocznego Grzędawiska. Ale, myślę, przecież one o tym nie mogą wiedzieć. Takie mądre nie są.

Wystarczy Ciemną Topiel z daleka omijać...

Sasza żyje... Stiepan, cholera, też. Niepojęte.

Jutro wyjeżdżam, daleko, a dokąd, nieważne. Właśnie z tych powodów spisałem tę historię. Za obraz święty włożę, ktoś znajdzie, kiedy dom opuszczony spenetruje, przeczyta, pewne sprawy zrozumie... Może innych powiadomi.

Widziałem Saszkę, teraz już Aleksandra, w telewizji. Nie uwierzycie, gdzie – w Kijowie, na Majdanie. Przemawiał z trybuny, a ludzie opętańczo klaskali. Owacje, wiwaty, zaraz potem wywiady. Który to już Majdan –czwarty, piąty? Trochę się w tym pogubiłem.

Wzywał do wojny – za wolność. Z kim i dlaczego – już nie słuchałem. Świetnie przemawiał.

– Walczmy z tyranią sąsiedniego reżimu, niezależnie od ofiar! – krzyczał. – Wolność i demokracja nie mają ceny! Jeżeli wymagają ofiary krwi, życia, złożymy ją – dla przyszłych pokoleń! Nie chcemy wojny, ale jej się nie boimy, niech wszyscy o tym wiedzą! Na dzisiaj innego wyjścia nie widzę, tylko zbrojny opór! Wolności nie damy sobie odebrać!

Dobrze wyglądał, naprawdę nieźle. Młodzieńczo tak... Taki gładki, wypucowany na twarzy. Jakby taki wylizany... Stiepan stał za nim z tyłu. Utył. Cóż, potrzebował prawie całego brzucha. Przyciemnione okulary nosi – może nowe gałki oczne źle wyglądają? Patrzyłem na starych druhów i zrozumiałem: pod Mrocznym Topieliskiem jeszcze ktoś inny mieszka. Pewnie więcej ich jest... Oni Stiepana i Saszę do życia przywrócili. Odrestaurowali...

I to im stwory z mackami ludzkie mięso znoszą. I im świeże powietrze jest potrzebne. Inne wytłumaczenie nie istnieje. Jednego nie wiem. Ilu takich ludzi, jak Sasza i Stiepan, u nas żyje?

Od razu też wiedziałem, czemu Saszka tak gorąco do wojny wzywa – i czemu do świata żywych powrócił. Jego mocodawcy głodni są, dawno trzewi nie nasycili ludzkim mięsem. Takim świeżuteńkim, widać – ulubionym. Tunele wydrążą, budowle jakieś na polu bitwy wzniosą, sąsiedni cmentarz poległych – młodych chłopaków odwiedzą. Prima sort uczta gotowa... Na długie lata trupów młodziaków w mundurach im starczy.

rys. Roman Panasiuk



CZARNA KAWKA

Marek Zychla

Czarnej kawce w chmurnych oczach się czerwienią

Iskry bólu wraz z domieszką świeżej krwi.

W wysokim bloku parowały kuchenne okna. Odgrzewano niedzielne rosółki, dogotowywano makaron, skorupy tłuszczu tajały w bursztynowe oka. W jednym z mieszkań zamyślony nastolatek odruchowo zamieszał bulion.

– Zupa! – krzyknął w stronę przedpokoju, wyraźnie zły na siebie.

Usłyszał, jak skrzypnęły drzwi. Po chwili w kuchni pojawił się wyraźnie pobudzony młody mężczyzna.

– Dawaj, bo lecę na trening! – rozkazał i sięgnął do szuflady po łyżkę.

Wrzucił do talerza kilka garści makaronu i dołał tylko trochę zupy. Jadł szybko, łapczywie, co jakiś czas wycierał brodę w kuchenną ścierkę.

– Jesz jak świnia – powiedział młodszy.

– Nie każdy chodził do liceum – burknęto w odpowiedzi. – Wybacz burakowi bez szkoły, barbarzyńcy, który wie, co to seks i...

– Daj spokój. Jedz.

Po chwili pusty talerz wylądował w zlewie, balansując na krawędzi stłuczenia. Mężczyzna oblizał dokładnie łyżkę, rzucił ją na blat i klepnął chłopaka w pochylone nad zupą plecy.

– Inteligencja, brachu! – ryknął. – To się liczy!

– Paskudny jesteś, wiesz?

– Ja ciebie też, a ty mnie możesz w sam środek...

– Idź już, dobra? – przerwał mu zniesmaczony nastolatek. – Sam będziesz sobie obiadki odgrzewał, bo kiedyś o tobie zapomnę.

– Już się tak nie wpieniaj. Powiedz lepiej, czy jakieś ładne pierwszoklasistki macie.

– Setki – zaśmiał się chłopak. – I wszystkie lecą na schamiałych hydraulików.

– Zdziwiłbyś się. Przynajmniej mam zawód i pracę.

Po chwili wyszedł, trzasnęły za nim drzwi, kroki cichły na klatce schodowej.

Nie ma za co, pomyślał licealista, biorąc się za mycie naczyń.

Talerz brata wyglądał na zaskakująco czysty, ale i tak postanowił wypłukać go dla pewności. Był zły na siebie, że nawet od czegoś tak głupiego nie jest się w stanie powstrzymać.

Przecież on nie istnieje, pomyślał. *Nie mam i nie miałem brata*.

Począł chwilę, aż zleci wrzątek i bojler weźmie się do mniej energicznej pracy. Myślał o coraz bliższej maturze, o uroczej, milczącej Kasi, która siedzi przed nim na polskim i o drobnej Ani, która uwielbia jazdę na rowerze i pewnie nie wie nawet o jego istnieniu. Z tą pierwszą chodził na cudowne randki, w tej drugiej wciąż bał się zakochać.

– Nie pasujecie do mojego świata – westchnął.

Znalazł najmniej ubrudzoną ze ścierek, powąchał, skrzywił się z obrzydzeniem i szybko wytarł w nią rozgrzane ręce. Miał już pójść do pokoju, gdy jego uwagę przykuło delikatne stukanie w okienną szybę.

Na parapecie podskakiwała kawka. Ptak próbował wepchnąć ciekawski łepiek w szczelinę niedomkniętego okna. Wyglądał zabawnie i przyjacielsko.

Chłopak podszedł bliżej, starając się nie spłoszyć niewielkiego gościa. Ojciec opowiadał mu kiedyś podobną historię, zapewniając o niesamowitej wręcz towarzyskości tych z wyglądu ponurych ptaków. Chłopak cmokał, sięgając do chlebaka po okruszki. Miał nadzieję, że to się dzieje naprawdę.

A może ona żre robale albo owoce? – pomyślał.

Odsunął firankę, klnąc w duchu na przerdzewiałe żabki i stare – przypominające tory kolejowe – szyny karnisza. Kawka przyglądała mu się, łypiąc raz lewym, raz prawym okiem.

– Śmieszna jesteś – szepnął i uchylił szerzej okno.

Ptaszek odskoczył na koniec parapetu, poczekał, aż okruszki wylądują na blasze. Chłopak

kątem oka dostrzegł jakiegoś pijaczka, który przyglądał się mu z uwagą. Nastolatek cofnął się o krok, nie chcąc stresować kawki. Parę okruszków zostawił po swojej stronie okna, by zachęcić ptaka do odwiedzin. Co jakiś czas cmokał lub gwizdał cicho.

Kawka zajęła się chlebem, rytmicznie uderzając dziobem w parapet. Chłopak przyglądał się jej uważnie. Spodobała mu się czarna czapeczka na popielatej głowie i białe oczka, których kolor powoli ulegał zmianie. Niepokoił go zaś ten mężczyzna z podwórka. Wyglądał znajomo, a jednocześnie czuło się do niego wstręt.

– Ja bym jej nie karmił! – usłyszał wykrzyczane z dołu. *Kawka obesrana*. Dosłownie poczuł, że czyta pijaczkowi w myślach. *Obesrane życie*. Wzdrygnął się.

Póki co postanowił to zlekceważyć. Czasem pomagało, choć zazwyczaj wręcz przeciwnie. Jednego, czego nauczył się przez lata walki z chorobą, to to, że nie ma żadnych reguł, a nawet jak jakieś są, to nie w jego przypadku. Odprowadził mężczyznę wzrokiem, po czym raz jeszcze spojrzął na parapet.

Co jest? – pomyślał wyrwany z zamyślenia, patrząc, jak róż i czerwień wpływają w niewielkie tęczówki ptaka.

– Cześć, Kosma – zaskrzeczała kawka, a chłopak pchnął okno, przewrócił się i zaczął histerycznie krzyżeć.

– Wpuść mnie, bo sama wejde.

– Dawaj z nami! – Zza śmietnikowej wiaty chwiejnym krokiem wynurzyli się dwaj mężczyźni. – Chodź, Jurek! Pójdziemy do Staszka! – Te zachrypnięte głosy dotarły również i do uszu chłopca. Tak wyraźnie, jakby sam stał na podwórku.

– Dojdę do was – odpowiedział zagadnięty mężczyzna, a jeden z żuli machnął tylko brudną ręką.

Jerzy Turpiński stał przy piaskownicy, zadzierając niegoloną od tygodnia twarz. Wpatrywał się w jeden z czterech tworzących betonowy prostokąt bloków, w jedno z malutkich okien w samym środku szerokiej linii najwyższego piętra. Wpatrywał się w Kosmę.

– Ja bym jej nie karmił! – Zaśmiał się, wziął głęboki oddech i lekkim krokiem podążył za kompanami od taniego wina, na których nikt nie zwracał uwagi.

Kosmie wydawało się, że poczuł zapach alkoholu. Trochę wbrew sobie, spojrzął raz jeszcze w stronę mężczyzny. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę na nieskazitelnie czystych butach, po czym powędrował w stronę spodni, z których, pomimo niemal pewnych wielu lat intensywnego używania, nie zniknął kant. Chłopak mógłby się założyć, że jeszcze parę chwil wcześniej widział na

nich plamy wyschniętego błota.

Obesraniec i żul, pomyślał, chociaż nigdy nie używał takich słów.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie powiedział tego na głos. Ostatnio robił to coraz częściej, co bardzo niepokoiło mamę.

I wtedy spojrział w przekrwione oczy kawki.

Do kuchni wrócił po paru minutach, po ochłonięciu na zimnej klatce schodowej.

Wariuję, pomyślał, otwierając oszklone drzwi. *Jej tu na pewno nie ma. Nie może tu być. Tak mówią...*

W rękę ścisnął ciężki roboczy but, znaleziony pod wieszakiem z kurtkami. W sercu czuł strach i determinację, aby rozprawić się jak najszybciej z – miał nadzieję – przywidzeniem.

Z duszą na ramieniu stawiał kolejne kroki, w żółwym tempie pokonując niepełne trzy metry linoleum. Parapet świecił pustkami, częstował nietkniętymi okruszkami chleba.

Byłaś tu... – Kosma otworzył szeroko okno, wypatrywał ptaka na sąsiednich parapetach. *Wrócisz?*

Podwórko tętniło swym zwyczajnym życiem, pełnym tragedii, plotek i alkoholu. Na niebie czerniały tylko jaskółki, ziemię szpeciły psie kupy.

Ale syf, pomyślał i zamknął okno.

Długo nie potrafił się uspokoić.

– Jak było w szkole? – zapytał ojciec przy piątkowym obiedzie. – Przygotowują już was do matury? Cisną? Straszą?

Kosma wymruczał zdawkowe „OK”, przeżuwał kapustę z gołąbką.

– Nie matura, a chęć szczerą! – zaśmiał się starszy brat i beknął. – Wykształciuchy i nieroby!

– Krzysiek! – skarcił go ojciec. – Jak nie chcesz, to nie musisz z nami mieszkać.

– Zaraz mi powiesz, że się do niczego nie dokładam, jestem chamem, któremu tylko woda i panienki w głowie!

Starszy z mężczyzn złożył gazetę, za którą od lat się chował i powiedział cicho:

– Jeszcze jedno zdanie i możesz sobie szukać kawalerki albo miejsca na dworcu.

Hydraulik zawahał się, lecz wygodnictwo zwyciężyło. Rozłożył ramiona teatralnym gestem i zabrał się za kolejnego gołąbka. Polał go grubą warstwą keczupu. Twarz ojca ponownie zniknęła za gazetą.

Kosma westchnął. Czasami miał brata najzwyczajniej dość.

– Nie usłyszałem przeprosin – Ojciec nie dawał za wygraną. Widelec Krzyśka wylądował na talerzu. W uszach Kosmy zabrzmiał jak uderzenie w dzwon.

– Nie kłóćmy się przy stole – szepnął licealista. – Nie przy stole. Proszę.

Mama spojrzała na niego ze smutkiem. Milczała.

Powiedziałem to na głos? – pomyślał, zły na siebie.

Krzysiek w tym czasie włączył telewizor.

– Słyszałeś o „Matrixie”? – zagadał do brata. – Trzeba się będzie bujnąć do kina. Tato? – trącił delikatnie gazetę, zza której wyłoniła się naburmuszona twarz. – Macie jeszcze w firmie te darmowe bilety?

– A pensje wam w tej „El-Delcie” wstrzymali?

Krzysiek mruknął tylko coś pod nosem i skupił się na emitowanej w Polsce „Interwencji”.

– El-Delta – powtórzył zamyślony Kosma, po czym zebrał talerze i wyniósł je do kuchni.

Zasrana El-Delta.

Zerknął jak zwykle z niepokojem na parapet. Czarna kawka pojawiała się i znikła. I tak od paru dni.

Zwykle migąła, czasem śnieżyła jak monitor bez sygnału, ale zawsze wgapiła się w niego przekrwionymi oczami. Często coś dziwnego mówiła. Pojedyncze słowa, wulgaryzmy, sprośności.

– Kasia, Ania, Kasia, suka – skrzeczała dzisiaj, stukając dziobem w szybkę. – Kasia odejdzie, wiesz?

Do kuchni weszła mama i zabrała się za mycie naczyń.

– Kasia, Ania, suki dwie. – Kawka przez chwilę mówiła nawet głośniejsze, by wreszcie zamilknąć i zniknąć.

Kosma zbladł. Wstydział się za to ptaszysko, choć wiedział, że mama jej nigdy nie widzi.

– Wszystko dobrze, synku? – Kobieta uśmiechnęła się do niego. – Dajesz sobie radę... w szkole? Dajesz sobie radę w szkole? Dajesz sobie... – W kółko powtarzała ostatnie zdanie, a przynajmniej tak to teraz słyszał.

Chłopak przyzwyczał się już do powtórzeń. Pokiwał głową, odwzajemnił uśmiech i zniknął w swoim pokoju. Zasłonił okno i starał się nie zwracać uwagi na irytujące stukanie w parapet. Głos matki powoli cichnął.

Kosma bał się i potrzebował pomocy. Innej niż ta, którą mu oferowali.

Wgapienie się w klatkę schodową nie należy do najciekawszych zajęć, ale wyglądało na to, że Turpiński i tak nie miał nic lepszego do roboty. Siedział na obdrapanej ławce, tuż pod przechyloną

jarzębiną i starą latarnią na betonowej nodze. Takiego zauważył go Kosma i zwolnił.

Mieszkańcy mijali pijaczka bez słowa. Szybko znikali w swoich klatkach, gotowi do parunastu godzin wegetacji w betonowych ścianach. Zmęczony Kosma szedł z czarnym plecakiem na ramieniu, za dużą kurtką na plecach i znieawidzonym mętlikiem w głowie. Nie omijał kałuż, nie przejmował się błotem, nie patrzył na czatującego mężczyznę, ale doskonale zdawał sobie sprawę z jego obecności. Zastanawiał się, czy tylko on.

Kroczył zamknięty w sobie i zamyślony. Starał się jak najszybciej minąć zajętą ławkę. Bał się. Brzydził się swojego tchórzostwa.

– Chodź tu na słówko – odezwał się Turpiński tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Tak, do ciebie mówię, ptaszku.

Chłopak przestał wgapiać się w popękane płytki chodnikowe. Mężczyznę coś najwidoczniej ubawiło.

– Podejdz, nic ci nie zrobię. Przecież wiesz.

Kosma przyjrzał się mu, zachowując bezpieczny dystans. Czuł, że kolejny raz wszystko wymyka się spod kontroli.

– Mogę nazywać cię Trupek?

– Nie znoszę tej dziwnej ksywy – warknął mężczyzna. – Jurek lub Jerzy. – Podał mu niewiarygodnie czystą dłoń szerokości plecaka.

– Kosma – szepnął.

– Z capiej dupy to twoje imię.

Chłopak nie odpowiedział. Spojrzał na ubłocone buty rozmówcy, na jego przetarte na udach dzinsy.

– Jak się żyje? – spytał mężczyzna. – Nie chcesz z kimś o czymś pogadać?

Kosma pokręcił głową, starając się uwolnić dłoń z nieprzerwanego uścisku.

– Śpieszysz się gdzieś? – Kolejne pytanie nie doczekało się odpowiedzi.

Ciężkie ramię opadło na młode barki, zapraszając do wspólnej przechadzki.

– Mój tata powinien zaraz wrócić z pracy... – wydukał Kosma, machając ręką w stronę malejącego bloku. – Muszę mu... nam wszystkim odgrzać zupę.

– Gówno musisz – prychnął Turpiński. – Twój tata nie potrzebuje zreć. Tak samo jak ten twój wymyślony brat.

Przeszli na koniec niewielkiego osiedla, kierując się w stronę ogródków działkowych i znanej wszystkim żulom „górkę”, usypanej tuż przy wałach kolejowych, gdzie samemu lepiej było się nie zapędzać – nawet za dnia, a tym bardziej nocą.

– Powinienem... Powinniśmy już wracać.

– Urodziłem się w Bieniowie – odezwał się mężczyzna. – Ojciec nie pił – przynajmniej nie

więcej niż inni – i nie tłuł mnie, chociaż wszyscy tak mówią. Matka nas kochała, żarcia nie brakowało nawet w najgorszych latach. Wysłali mnie na studia, ale tam się niestety rozpiłem.

– To super – bąknął chłopak, głośno przełykając ślinę. – Znaczy się... Proszę pana...

– Super, kurwa, hiper – zgodził się Turpiński.

Kosma znowu poczuł zapach alkoholu.

Przeszli za wały i usiedli na kryjącej się za nimi górcie. Trochę dalej paru mężczyzn piło tanie wina. Pomachali z szacunkiem do Jerzego, a on skinął w ich stronę głową. Za sobą pozostawili ścieżkę, ogródki działkowe i długie rzędy garaży.

– Siadaj – polecił chłopakowi.

Kosma położył plecak i usiadł na nim, czując pod sobą zeszyty i książki.

– Strasznie żeś delikutaśny. – Mężczyzna wyciągnął zza pazuchy dwie puszkę z mocnym marketowym piwem. – Pijesz, czy dopiero zaczniesz?

Nastolatek pokręcił głową i odwrócił twarz.

– Zaczniesz, zaczniesz. – Jego rozmówca zaśmiał się sam ze swojego żartu. – A wtedy będzie jeszcze gorzej.

Kosma próbował zachować spokój, ale wydarzenia ostatnich dni i coraz silniejszy odór bijący od Turpińskiego zrobiły swoje.

– O co panu chodzi? – spytał gdzieś na granicy krzyku. – Tata już pewnie jest w domu i...

– Będzie cię szukać. Ten twój święty ojczulek zza tej samej, starej gazety...

– Proszę przestać! – krzyknął chłopak.

– Jak sobie życzysz – usłyszał w błyskawicznej odpowiedzi.

Pierwsza pusta puszkę stoczyła się po łagodnym zboczu. Mężczyzna beknął cicho i zabrał się za opróżnianie kolejnej. Kosma milczał, gotowy jednak do natychmiastowej ucieczki.

– Rodzice mnie nie lali, ksiądz mnie żaden nie zgwałcił, a nawet koń mnie w łepetynę nie kopnął i w przedszkolu nie gadano o waleniu konia – Jerzy wrócił do zwierzeń. – Coś mi się jednak w głowie poprzestawiało i zacząłem opowiadać ludziom o rzeczach, o których lepiej nikomu nie mówić.

Licealista w tym momencie kichnął, przeprosił i wytarł oplute dłonie w rzadką trawę.

– Nie na wodę – skwitował Turpiński, wciąż zatopiony we wspomnieniach.

Para pijaczków postanowiła dołączyć do nich, raczej z miłości do alkoholu niż ze względów towarzyskich. Puste butelki po „Turze” dzwoniły w pełnej zacieków bawełnianej siatce. Jednemu z nich przy szlufce paska bez przerwy pobrzękiwały zamknięte w pęk klucze.

– Czołem! – Starszy z dwójki machnął czerwoną dłonią i przywdział imitację szczerego uśmiechu. Śmierdziało od niego potem i moczem.

– Idźcie dalej – powiedział zagadnięty takim tonem, że Kosmie ciarki przebiegły po plecach. –

Czołem – dodał szeptem, lecz tamci zniknęli już, tak szybko, jak tylko mogli.

Pijaczek pozbył się drugiej puszki, wstał i podał rękę chłopakowi, który podniósł się jednak bez jego pomocy.

– Młodość! – Turpiński pokiwał głową. – Ponad poziomy ulatuj...

Kosma nie zamierzał go poprawiać, choć pamiętał ten wiersz z powtórek do matury. Otrzeptał plecak i ruszył za swoim znajomym. Przez cały czas zastanawiał się nad słowami, które wcześniej od niego usłyszał. Postanowił zaryzykować.

– Czyli pewne rzeczy lepiej zachować dla siebie? – zapytał, gdy zrównali się na przygarażowej ścieżce.

– Teraz będzie tylko gorzej, chłopcze – odezwał się po chwili mężczyzna. – I nikt tego nie zrozumie, nikt ciebie nie wysłucha, tylko zarzucą kolejnymi pigułkami. Przyjdź wtedy do mnie. Spróbuję ci pomóc.

– Sam sobie nie poradzę...

Minęli dwójkę tych samych żuli, starających się prawdopodobnie wyłudzić parę złotych od jakiejś staruszki. Skinęli pokornie w stronę Jerzego, dając kobiecie spokój.

– Robactwo – mruknął mężczyzna i splunął. – Musisz mi, chłopcze, zaufać. Razem damy radę.

– A skąd mam wiedzieć... – Kosma zawiesił głos.

– Czy jestem prawdziwy? – zaśmiał się Turpiński. – A czy to w ogóle ważne?

Wyciągnął z kieszeni papierosy bez filtra i zapalił, tym razem nie częstując nastolatka.

– Ja sobie poradziłem – powiedział, wypuszczając mlecznoszary dym, który doleciał wraz z wiatrem do Kosmy. Zamienili się miejscami, ku widocznemu rozbawieniu pijaczka.

– Delikurwataśny.

Weszli pomiędzy szare bloki, usiedli na tej samej, paskudnej ławce, pod okaleczoną nożami i wiatrem jarzębiną.

– Męczyłem się przez dwadzieścia lat – Jerzy podjął wątek. – Może nigdy nie pokonasz tej kawki, dzieciaku.

Spojrzeni sobie po raz pierwszy w oczy.

Mężczyzna wyrzucał kolejne zdania z prędkością karabinu maszynowego:

– Nikt też ci nie pomoże, bo to jest twoja walka. Znajdź mnie, gdy już będzie naprawdę źle. Wiesz, kiedy możesz mi zaufać? Wiesz, kiedy? – Uciszył Kosmę gestem. – Na pewno wiesz. A gdy będziesz się chciał zabić, to pamiętaj, że nawet wtedy możesz wygrać. Być kimś. Kimś lepszym niż ja.

Turpiński ze stęknieniem podniósł się z ławki i bez słowa ruszył w stronę reszty osiedla, w kierunku pobliskiego blaszaka, transporterów z winami i piwem. Zmieszany licealista patrzył, jak

cień Jerzego znika za betonowym zakrętem. Niepewnym krokiem zaczął wspinać się po schodach. Nic z tego nie rozumiał i nie wiedział, komu ma tak naprawdę zaufać.

Pewność miał tylko, co do tego pijaczka, nieważne – prawdziwego czy nie. Wystarczyło zwracać uwagę na spodnie i buty.

– Pani Kasiu, faza owładnięcia ma to niestety do siebie, że najbliższym chorego jest najtrudniej. Nawet małżeństwa z długim stażem nie radzą sobie, ukochani nie poznają domowników, nadają im nowe imiona, zdarzają się przypadki fizycznej agresji. Te wszystkie wypowiedziane zdania i słowa pozornie bez sensu mogą ranić i ranią. Zachowania, nowe i irytujące nawyki, wrogość, wstyd...

– Niech mu pan pomoże. – Młoda kobieta przerwała kolejny z wykładów lekarza. – Dla mnie to... – Nie dokończyła, powstrzymana łzami.

– Tylko proszę się o nic nie winić – dodał psychiatra. – Zrobimy, co w naszej mocy.

– Bardzo proszę – westchnęła i po raz ostatni wyszła z gabinetu.

Na drzwiach wisiała tabliczka: „PSYCHIATRA lek. med. Jerzy Turpiński, Specjalista...”. Nie dała rady przeczytać do końca.

Kosma rozsunął zasłonki i spojrzał na czekającego za szybą ptaka. W pamięci wciąż powtarzał słowa Turpińskiego. Zamierzał pokonać swoje największe lęki i pozbyć się kawki raz na zawsze. Walczyć o życie, o zaszczytą chorobą miłość.

– Cześć – skrzeknęła, gdy klamka okienna powędrowała w górę. – Wpuść mnie. Kasia, suka. Kasia odeszła. Kosma czy Krzyś?

– Cześć – odpowiedział chłopak i otworzył okno. – Będę musiał cię zabić.

– Nie ma okruszków? – Kawka zabawnie poruszała łebkiem. – Weź od suki, co to wszystkim daje.

– Nie ma.

– Suki?

– Okruszków.

I wtedy zaatakowała. Rozrosła się w oka mgnieniu, jakby poszerzana od środka uderzeniami coraz większych pięści. Twardy dziób kaleczył dłonie i twarz chłopaka, szpony wbijały się w jego ramię. Ostre lotki cięły mu skórę, spijały z ran świeżą krew.

Kosma krzyczał i walczył, aż stracił przytomność. Nie wiedział, ile czasu leżał na podłodze.

Ocknął się na pachnącym krochmałem tapczanie, a białe ściany pokoju rozjaśniały mrok. Mebli nie było, za oknem straszły kraty.

Mrugnął i mruknął coś do siebie, a po chwili głośniej powiedział:

– Kawka.

Ponownie zamknął oczy i otworzył je dopiero rano. Usiadł z trudem na tapczanie, na ściany wróciła tapeta przytrzymywana przez szafki i biurko.

Wstał i poszedł do łazienki, by przemyć twarz. Na ramieniu siedziała mu kawka.

– Cześć – zaskrzeczała, a Kosma zaczął płakać i krzyczeć.

Spanikował. Próbował walczyć, ale w pewnym momencie, po wyjątkowo bolesnym dziobnięciu w szyję, nie mógł już wykonać najmniejszego ruchu. Czuł, jak sztywnieją mu mięśnie, nie mógł nawet poruszyć nienaturalnie przekreconą głową. Wszystko go bolało, z palców i po policzkach ściekała krew. Łkał.

– Wygrałam – oznajmiła kawka i mocniej zacisnęła szpony. – Kasia, Ania, kurwy dwie.

Mama opatrywała mu rany, śpiewała przy tym kołysankę, której nie słyszał od lat. Tata stał w drzwiach łazienki, schowany za swoją ulubioną gazetą. Jej szelestem zdradzał zdenerwowanie. Co jakiś czas rzucał tylko w ich stronę jakieś zdawkowe zdanie, w stylu: „Będzie dobrze, ale trzeba ich jak najszybciej powiadomić”, albo „Poradzimy sobie, chłopcze. Z pomocą leków lub nie”.

Krzysiek wszedł w pewnym momencie do domu i od progu krzyknął:

– Wszystkim w pracy mówiłem, że mam pieprzonego brata! – Zaśmiał się i klasnął w dłoń.

Ojciec nie wytrzymał. Pchnął starszego z braci na ścianę, na starą boazerię z pociągniętych ciemnym lakierem desek.

– Jesteśmy rodziną, gówniarzu! – syknął.

Młody hydraulik bąknął zdawkowe przeprosiny i powędrował do kuchni. Na spranej koszulce miał wyrysowaną markerem kawkę.

– Dlaczego uderzałeś pięściami w ścianę i skąd ten pomysł z nożem? – szepnęła mama. – Jak mogę ci pomóc?

Kosma nie chciał opowiadać o ptaku, który z ciekawością przyglądał się tym wszystkim plastrom i bandażom na młodych dłoniach. Próbował nawet chwycić jasne loki kobiety, ale te wyslizgiwały się z błyszczącego dzioba.

– Nie wiem, mam – wydukał Kosma, który chciał tylko zostać sam. – Obawiam się, że nie możesz.

– Czy wszystko w porządku? Czy wszystko w porządku? Czy wszystko... – To zdanie kręciło

się po jego obolałym umyśle, nawet gdy kobieta na chwilę odeszła.

Pokiwał tylko chorą głową i przyjął przyniesione przez mamę tabletki.

– Co to? – spytał.

– Paroksetyna i Lorazepam. Pomogą ci się uspokoić i zasnąć.

– Przecież dopiero wstałem? – zdziwił się. – Która godzina?

– Już znowu noc, synku. Już znowu noc.

Kawka chwyciła go za ucho i wykręciła mu na bok głowę. Mamie po policzkach spływały łzy, jemu krew. Tata i Krzysiek na chwilę zniknęli.

Niepokój nie opuszczał go w dzień i w nocy. Przed zaśnięciem słyszał krzyki Jurka pod oknem albo pragnął je słyszeć. Kawka czasem odlatywała, ale wciąż czuł jej szpony zaciśnięte nad łopatką i pod obojczykiem. Wielkie szpony jak na tak małego ptaka.

– Co tam, kujonie? – Krzysiek wpadł do pokoju jak letnia burza, jakby żadne drzwi nigdy nie były dla niego zamknięte. – Radzisz sobie czy przynieść ci jakiś nóż?

– Bardzo śmieszne. – Kosma z trudem podniósł się z łóżka.

Spojrzał na swoje opuchnięte dłonie, na świeżo zmienione opatrunki, na gojące się zadrapania.

– Jest dobrze. – Uśmiechnął się, rozdmuchując na chwilę mgłę smutnych myśli. – Wciąż mnie poprzednie bolą, a to ją najwyraźniej odpędza... To pomaga – poprawił się.

– Ponoć uderzałeś pięściami w ściany, rzucałeś się na matkę i meble. Stajesz się prawdziwym mężczyzną!

Kosma dotknął stopami dywanu. Wpierw zdawał się być zimny i chłodny, dopiero po chwili poczuł delikatne łaskotanie tkaniny.

– Bratu możesz o wszystkim powiedzieć. – Krzysiek szturchnął go w ramię. – Znasz mnie. Przecież nikomu nie powiem. Przecież nawet nie mogę.

Zaśmiali się obaj. Kosma po chwili zaczął brzydko kaszleć.

– Nie w formie? – rzucił starszy brat i usiadł obok. – Wiem, że mnie nie lubisz i czasem... Dość często nawet, zachowuję się jak skończony głupek, ale to nie przez ciebie, chłopie. Tak głupio wyszło.

Kosma słuchał i kiwał głową. Kawka wróciła, zaciśnęła szpony, wpatrując się w nielubianego gościa.

– Nigdy nie ciągnęło mnie do książek, ale możesz na mnie liczyć. Czuję, że to tak trochę i moja wina. Że my, to tak naprawdę nie my, to...

– Milcz! – rozkazał Kosma lub ptak.

Kawka zaczęła dziwnie charczeć i po chwili wypluła grubego, włochatego pająka, który od razu zaczął wspinać się po szyi i policzku Kosmy, co jakiś czas zatrzymywał się, by złożyć parę czerwonych jaj, aż w końcu schował się gdzieś na czubku głowy.

Chory nie zareagował. Ptaszysko ostatnio dość często robiło takie rzeczy i jakiegokolwiek próby oporu kończyły się czystymi złośliwościami z jego strony. Zdążył się do tego przyzwyczaić. Wieczorami mama, na prośbę ukochanego syna, dokładnie wyczesywała mu włosy.

Pająki zbiegały po grzebieniu, na jej dłoń i znikwały pod szerokim, białym rękawem.

A może to nie mama, pomyślał i jeszcze bardziej zaczął się bać.

– To nie twoja wina – odezwał się po chwili do brata. – Ja nawet chciałbym być taki jak ty. Tylko inteligentniejszy. Mógłbym? To chciałeś mi powiedzieć?

Krzysiek udał przez chwilę obrażonego.

– Kiedyś się dowiesz, co to ciężka praca i seks, choć z tym drugim, to nie jestem pewien.

Zaśmiali się po raz trzeci i zamilkli na dłuższą chwilę. Kawka włożyła dziób do ucha chłopca i szeptała najpaskudniejsze przekleństwa.

– Jak ci pomóc? – Krzysiek przeszedł do sedna. – Odejść?

– A mógłbyś?

– To ty tak naprawdę mógł...

– Nie! – wdarła się w ich rozmowę kawka. – Nie możesz!

Obaj pokiwali głowami.

Po chwili ptak krzyknął. Kosma i Krzysiek poczuli, jak napinają się im wszystkie mięśnie, dostali drgawek, a za moment zemdleli. Na ziemi leżał tylko jeden z nich. Gdy odzyskał świadomość, drugiego już przy nim nie było. Mama siedziała w kącie – na fotelu, którego nigdy nie mieli – i robiła szal na drutach.

Kawka przycupnęła na parapecie i wrywała sobie pióra, które od razu odrastały. Chlapała wokoło bardzo ciemną krwią, która nie zamierzała krzepnąć. Spojrzała na niego i powiedziała:

– Mnie nie da się pokonać.

Zobaczmy, pomyślał chłopak. *Kim ja jestem?* – dodał w najgłębszych myślach, których i tak nie mógł przed nią ukryć.

– Nikim – zaskrzeczała i strzeliła krwią.

Słyszał, że rozmawiają o nim. Nie wiedział, kto, i czy na pewno dotyczy to jego, ale słuchał i kawka słuchała. Milczała.

– Klozapina w większości przypadków czyni cuda, szczególnie w pierwszych fazach choroby. Zdarzają się jednak pacjenci, na których najzwyczajniej nie działa.

– I jak to będzie teraz wyglądać, doktorze? Jak mu pomóc?

– Jest jeszcze jedna metoda, którą niestety strasznie napiętnowały media... Wystarczy wspomnieć scenę z filmu „Lot nad kukułczym gniazdem”, ale jeśli go pani nie widziała, to lepiej teraz nie oglądać. Mija się z prawdą.

Kosma skupiał się na rozmówcach. Pierwsze, co ujrzał, to nieskazitelnie czyste buty lekarza.

– Na dniach przedstawię wszystkie szczegóły, bo myślę, że jest to nasza ostatnia deska ratunku. Pacjent ucieka w inne osobowości, drugi świat dawno przysłonił ten pierwszy, a do tego doszły samookaleczenia... Będziemy potrzebowali pani zgody, a nie chcę, by udzieliła jej nam pani zbyt pochopnie.

– Nie wygrasz – szepnęła kawka do chłopięcego ucha. – Nie jesteś Kosmą, nie jesteś Krzyśkiem. Jesteś nikim.

– Chcę z nim porozmawiać! – Kosma krzyczał na całe gardło. – Zaprowadźcie mnie do Turpińskiego! Za garaże! Na górkę!

Tata wszedł do pokoju szybkim krokiem. Gazetę położył na biurku i podbiegł, by przytrzymać syna.

– Uspokój się, proszę.

– Chcę rozmawiać z Jerzym! Ta kawka... – Zamilkł, siadając z powrotem na łóżku. – Turpiński, kawka, górka – powtarzał w dziwnym transie.

Nagle tata zmienił się, odmłodził w oczach. Stał prosto i nabrał pewności siebie. Wyglądał jak oficer z amerykańskich filmów wojennych, brakowało mu tylko skórzanej kurtki. Jak prywatny detektyw i superbohater w jednym.

– Znajdziemy go, synku – zapewnił. – Potrzebuję jednak twojej pomocy. To ty za nas stoczysz tę walkę. Walkę – dodał i powtórzył to słowo raz jeszcze, trochę ciszej.

Kosma też je wyszeptał i podał mu drżącą, zimną dłoń. Wyszli poza pierwsze i poza kolejne – te najcięższe – drzwi. Klatka schodowa uderzyła w nich chłodem żelbetonowych schodów i smrodem podwórkowych kotów.

– Znajdziemy go, synku – powtarzał ojciec, w jego rękę pojawił się bejsbolowy kij.

Chłopak przypomniał sobie o przygodzie z dzieciństwa, gdy jeden z pijaczków próbował wyciągnąć kieszonkowe od małego Kosmy. Mężczyzna czekał na niego i na pieniądze zawsze na dole klatki schodowej, ale pewnego dnia zamiast chłopca zszedł jego tata. Z tym samym kijem

i chęcią pomocy. Nigdy więcej nie mieli z tym pijaczkiem problemów.

– On mi pomoże, tato. On jest inny. Nie możesz go bić. Ufam mu, ale musimy uważać.

– Znajdziemy go, synku. Znajdziemy.

Wyszli na podwórko, kawka pojawiała się i znikwała w nierównym rytmie. Szpony zaciskały się na obu ramionach Kosmy. Kolejny pająk dołączył do braci, ukrytych w od niedawna strzyżonych przy skórze włosach.

– Idziemy na górkę – powiedział chłopak, prowadząc ojca w stronę wałów kolejowych.

Szare chmury wisiały wyjątkowo nisko, rozpięte pomiędzy nachylonymi w ich stronę blokami. Ptak wzbijał się w niebo, skrzecząc przekleństwa i groźby. Co jakiś czas zlatywał, często większy niż zwykle, atakując ich twarze i ręce.

– Wytrzymaj, synku! – W oczach ojca pojawiły się łzy. Machał kijem, by odstraszyć natrętne ptaszysko.

W parę chwil doszli do wałów, które przypominały wyrwane kadry z filmu grozy. W tym miejscu zieleń traw pokrywało robactwo, ziemia strzelała ropą niemalże przy każdym kroku. Cuchnęło złem i śmiercią.

Znowu pojawiła się krew. Gęstniała na spoconej skórze Kosmy.

Turpiński stał na wzgórzu. W jednej ręce trzymał puszkę piwa, drugą pomachał w ich kierunku. Uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na cały ten koszmar.

– Spalimy ją! – krzyczał, przesiąknięty alkoholowym śmiechem. – Zabijemy tę czarną, obesraną kurwę! Prądem!

– Nie! – wrzeszczała kawka, podwajając wysiłki, by zatrzymać Kosmę.

W pewnym momencie wzbijała się wysoko w powietrze i zaczęła rosnać, karmiona porywistym wiatrem. Przesłoniła niebo od garaży po ogródki działkowe. Skrzeczała tak głośno, że musieli osłonić uszy dłońmi.

Widocznie podchmielony Jerzy machał w jej stronę zaciśniętymi pięściami, krzycząc ile sił w płucach, ale Kosma nie mógł tego usłyszeć. Ptak zaatakował mężczyznę, przybijając go dziobem do ziemi.

Chłopak upadł na kolana wprost w jedną z największych kałuż ropy, poczuł chłód sięgający aż do serca, a z niego, wraz ze zmrożoną krwią, do całego ciała. Kawka krzyknęła tylko: „Nie wygrasz!” i odfrunęła przysłonić niebo komuś innemu.

– Tato, nie dam rady – szepnął, ale ojca już z nim nie było. Zniknął też bejsbolowy kij.

W jego miejscu leżał najzwyczajniejszy długopis, który Kosma podniósł i ścisnął mocno w drżącej dłoni.

Złość narastała w nim od wielu tygodni, miesięcy, być może i lat. Nie miał pewności – dawno się w tym pogubił. W jednej chwili pomyślał o tych strzępkach rozmów, które czasem do niego

dolatywały, o początkach, gdy jeszcze sam siebie o wszystko pytał; doszukiwał się oznak choroby, potrafił oddzielić od siebie stare – realne – i nowe – niemniej rzeczywiste światy.

Patrzył na długopis, znajdując w nim jedyne wyjście z sytuacji. Ratunek, drogę do unicestwienia czarnej kawki i wszystkiego, co ze sobą niesie.

Poczłapał w stronę górki i wyróżniających się czerwienią na zaropiałym tle zwłokach Jurka. Jego ubłocone buty i dłonie powoli pokrywały się krwią.

– Wygram – mruknął bardziej do siebie, nie spoglądając więcej w stronę zmasakrowanego ciała. – Dla ciebie.

Wiedział, że nie będzie miał wiele czasu. Z daleka – pełna energii i złości – nadlatywała kawka.

Położył lewą rękę na udzie i zaczął wbijać długopis w przedramię. Rytmicznie i głęboko, raz za razem. Cienkie strużki krwi spływały na obie strony, łącząc się plamą na spodniach. Z daleka słyszał podniesione głosy. Dwóch pijaczków – tych samych, co parę dni, a może i lat wcześniej – biegło do niego od strony wałów. Czas kurczył się, a ból był wciąż zbyt mały, nieistotny, niepoważny. Wtedy wpadł na kolejny pomysł.

Przełożył długopis wkładem do góry i ponownie zacisnął na nim palce. Myślał tylko o jednym. Nie chciał już dłużej tego wszystkiego oglądać. Uderzył, celując w prawe oko, lecz w ostatniej chwili powstrzymał go większy z mężczyzn.

Kosma poczuł chłód na policzku, boleśnie wykręcono mu rękę. Poczucił ukłucie – kolejne z wielu – i sen, jeszcze bardziej pokręcony niż życie.

I smutek, który nazwałby najzwyczajniej pustką. Tracił przyjaciół, tracił swój świat, ojca, a wraz z nim kolejną miłość.

Nie było już wzgórze, garaży ani ogródków działkowych, gdzie pito nie mniej niż na pobliskich wałach. Nie widział kawki, zwłok Jerzego i długopisu, który zostawił ojciec. Biały opatrunek szerokim pasem pokrył podziurawioną skórę. Nie bolało.

Kosma leżał na łóżku, kołdra unosiła w się w powolnym rytmie głębokich, na wpół sennych oddechów. Biała i pachnąca szpitalem, chorobami graniczącymi z czarną magią. Poduszka przytrzymała mu jedno oko zamknięte, drugim chłopak wpatrywał się w kremową ścianę, w kominek z rozgrzanym do czerwoności szamotem i węglem. Takim tylko dla niego. Takim, którego nie mogło tam przecież być.

Zza ściany, a być może tuż przy uchu usłyszał rozmowę.

– Czasy się zmieniły, a i w filmach wszystko inaczej wygląda. – W tym męskim głosie

chłopak rozpoznał Jurka i wielu innych przed nim. – Dzisiaj elektrowstrząsy aplikuje się w znieczuleniu ogólnym i po zastosowaniu środka zwiotczającego mięśnie, dzięki czemu drgawki nie są już niebezpieczne. W zasadzie ich praktycznie nie ma.

– Słyszałam nawet o złamaniach kręgosłupa... – odezwała się zmartwiona kobieta.

– Nie będę pani okłamywał ani mówił, że się to nie zdarzało, ale nie widzę innego wyjścia. Nie wiemy tak naprawdę, co wywołuje chorobę, a o gdybaniach sama się pani pewnie naczytała. Co gorsze, nie wiemy, w jaki sposób pomagają same elektrowstrząsy. Przypuszczamy, a w zasadzie możemy wyjść poza te przypuszczenia, że dochodzi do gwałtownego uwolnienia neuroprzekazników w ośrodkowym układzie nerwowym. Do pewnych wzmocnień, pobudzeń...

– Doktorze, proszę działać.

– Podjęła pani słuszną decyzję. Jego przypadek okazał się lekooporny, urojenia i omamy nasilały się niemal z każdym dniem, zdarzała się sztywność katatoniczna, autoagresja, ryzyko...

– Boję się, że dojdzie do najgorszego – przerwała mu matka pacjenta.

Kosma przestał słuchać, łza spłynęła mu po nasadzie nosa, kominek zniknął. Zastąpił go rozgrzany kaloryfer. Na kołdrze wylądowała kawka. Z obu stron dzioba wysypywały się jej okruszki.

– Kasia, Ania, suki dwie – zaskrzeczała.

Nie czuł bólu, niewiele też ze wszystkiego pamiętał. Po czterech przebytych sesjach wracał szybko do zdrowia, po kilku miesiącach odzyskał pamięć krótkotrwałą i pogodę ducha, choć o wielu z tych zdarzeń wolałby na zawsze zapomnieć.

– Jak się czujesz, synku? – Kobieta po cichu otworzyła drzwi od jego pokoju.

– Dobrze, mamu – odpowiedział, wpatrując się w zdjęcie zamknięte w czarnej ramce, na którym siedzący na fotelu tata czytał swoją ulubioną gazetę. – Brakuje mi go – westchnął. *I Kosmy*, dodał w myślach, wspominając wyidealizowaną wersję samego siebie – chłopaka z liceum, którym przez ostatnie kilka lat był; którym od zawsze i na zawsze chciał być.

– Mi też. – Podeszła bliżej i objęła syna. – To był wspaniały mężczyzna i cudowny ojciec, choć pewnie go nie pamiętasz, tyle czasu minęło... – Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: – Każdego dnia o nim myślę, Krzysiu.

– Straciłem tyle lat życia – szepnął. – Straciłem żonę, pracę, zdrowie, tatę i wymyślonego mnie. Drugą z lepszych mych połów, mamu.

Patrzyli się na starą fotografię.

– A jak to wszystko powróci? – zapytał. – Skąd wezmę siły?

– Nie myśl o tym – westchnęła kobieta. – Straciłeś wiele, ale wreszcie odnalazłeś siebie. Wróciłeś, mój skarbie.

Uśmiechnęli się do siebie. Na dworze spadł pierwszy śnieg, sprawiedliwie i szczerze – na wszystko. Ze spokojem w sercach czekali na nadchodzące święta. Być może pojawi się u nich Kasia, a być może spotkają się dopiero na Sylwestra. Krzysiek zastanawiał się, czy przywiezie ze sobą małą Anię. Ścisnął w dłoni czarne pióro i przestraszył się znowu. Powoli rozchylił palce, przyglądając się pustej, gęsto pooranej bliznami ręce.

Pewnie mi się wydawało. Zadrżał i spojrział tysięczny raz na parapet.

rys. Roman Panasiuk



FARMA

Arkadiusz Nowakowski

5. czerwca 1999

20:45

Wróciłem z pracy po ciężkim dniu. Był już wieczór, a na ulicy paliły się lampy. Moja głowa pulsowała, nie dając spokojnie usnąć. Wstałem z łóżka i zaparzyłem sobie mocnej kawy. Tej nocy już nie pośpię. Wyjąłem plik dokumentów z teczki i postanowiłem je przeanalizować jeszcze raz. Gdzieś popełniłem błąd i chciałem wiedzieć gdzie. Oczywiście byłem świeży w tym zawodzie, jednak nie zmienia to faktu, że jednocześnie najlepszy spośród stu innych. Właśnie przeglądałem zdjęcia, kiedy zadzwonił telefon.

– Tom, tu szeryf. Nie chcę owijać w bawełnę. Dostajesz przydział, będziesz badał sprawę JJ Rippera.

– Ogromnie się cieszę, ale... Dlaczego właśnie ja?

– Bo ty się do tej roboty najbardziej nadajesz. Jesteś inteligentny, bystry i znasz wszystkie tajniki, jakimi może się posługiwać seryjny morderca, więc odmówić nie możesz. Chyba że rezygnujesz z pracy?

– Oczywiście, że nie rezygnuję.

– Jutro o dziesiątej masz przyjść do biura. Otrzymasz wszystkie materiały związane z JJ Ripperem.

– Dobrze, szefie. Będę punktualnie.

Odłożyłem słuchawkę. Byłem szoku. JJ Ripper – pierwszy seryjny morderca, którego miałem schwytać. Chciałem śpiewać z radości i jednocześnie płakać, bo wiedziałem, co zrobił JJ. Postanowiłem, że dziś już nie będę przeglądał zdjęć, bo i tak od jutra będę miał aż nadto wpatrywania się w „dzieła” Rippera.

6. czerwca 1999

9:59

Stałem przed drzwiami szefa niczym skarcony uczeń. Minuta dzieliła mnie od otrzymania sprawy JJ. Drzwi otworzyły się i ukazała się postać starszego mężczyzny z brodą.

– Wejdz, Tom.

Wszedłem.

– Usiądź. Tutaj mam dokumenty, które mogą się przydać. Oczywiście liczę na twoją intuicję, dzięki której nieraz udało ci się strzelić w dziesiątkę. To, że nie dostałeś partnera, nie zmienia faktu, że cały czas będziesz miał wsparcie. Chcę, żebyś to wiedział.

– To nawet lepiej, wolę pracować sam. Wiele słyszałem o JJ...

– Większość to bujda wyssana przez szmatławce, żeby nakład się szybko sprzedał. Prawda jest taka, że mamy seryjnego mordercę i – już – dwadzieścia dwa trupy. On się z nami bawi, potrafi nas mylnie naprowadzać, żebyśmy się ośmieszyli. Jednak jest szansa, że popełni gdzieś błąd. Ty to wykorzystasz, a wtedy wreszcie dopadniemy skurwysyna.

Już miałem wychodzić, kiedy zadzwonił telefon, szef włączył na głośnomówiący.

– Tu posterunkowy Mike. Jestem na miejscu zbrodni. Proszę przysłać techników, to istna masakra.

– Zrozumiałem, podaj namiary – odparł szef.

– Jestem wraz z Henrym na Cristal Fighein. W pobliżu jest farma.

– OK, zrozumiałem – potwierdził szef, kładąc słuchawkę z powrotem.

Spojrzał na mnie. Na jego twarzy rysował się nikły uśmiech.

– Zbieraj tyłek i złap tego sukinkota.

Wypadłem z biura niczym strzała i od razu udałem się do wozu. Jechałem na syrenie.

Padło coraz mocniej. Nawierzchnia była bardzo śliska. Chciałem tam dotrzeć jak najszybciej, jednak straciłem panowanie nad wozem. Wjechałem do rowu. Kiedy odzyskałem świadomość, spostrzegłem, że z mojego czoła spływała się mała strużka krwi. Wszedłem z auta, aby sprawdzić, w jakim jest stanie. Ku mojemu zdziwieniu wydawało się nieuszkodzone. Usiadłem

za kierownicą i zacząłem się modlić, przekręcając kluczyk w stacyjce. Za pierwszym razem nie zapalił. Nie zdziwiło mnie to, bo nigdy nie odpalał za pierwszym razem. Ponowna próba przyniosła upragniony sukces. Po godzinie dojechałem na miejsce wyznaczone przez szefa.

Przy farmie znajdowały pola kukurydzy. W oddali zobaczyłem stodołę. Spojrzałem w lusterko. Krew dalej sączyła się lekko. Wyjąłem plaster, który był w schowku, nakleiliśmy na czoło i wyszedłem z samochodu. Kilku funkcjonariuszy gadało między sobą, rozciągając taśmę policyjną wokół domu. Podeszedłem nich.

– Co tu się wydarzyło? Gdzie jest miejsce zbrodni?

Jeden z policjantów spojrzał na mnie.

– Proszę wejść do środka – odparł, wskazując drzwi do domu.

Dom był drewniany, pomalowany na jaskrawą biel. Nad górną krawędzią futryny wisiała tabliczka „W tym miejscu w 1888 roku toczyła się bitwa”. Na drzwiach znajdowała się wizytówka Herzen Huintin, a pod plakieta wielka masywna kołatka, która trochę nie pasowała do wiejskich realiów. Drzwi były lekko uchylone.

Wszedłem. W środku panował smród stęchlizny, zmieszany z wonią ludzkiej krwi. Przedpokój był niewielki. Mała szafka na buty, obok stojak na parasole, a po prawej drzwi do kuchni. Tam także stali policjanci i robili zdjęcia. Podeszedłem bliżej. Wielki wiatrak, który miał ochładzać domowników, teraz tylko rozwiewał na cały dom smród rozkładającego się ciała. Na stole leżały stare płatki śniadaniowe, po których chodziły karaluchy. Spojrzałem w prawo. Ujrzałem małą lodówkę. Typowy model z lat pięćdziesiątych. Kilka kroków dzieliło mnie od policjanta, który trzymał w ręku aparat. Im bliżej podchodziłem, tym bardziej mój umysł próbował odtworzyć to, co się tu wydarzyło. Mimo że było tutaj dziesięciu funkcjonariuszy, bałem się.

– Gdzie jest trup? – zapytałem.

Policjant odstawił na moment aparat i odpowiedział:

– Ciało denatki jest na piętrze, ale może lepiej nie wchodzić tam sam. Ja płakałem dobry kwadrans po wyjściu stamtąd.

– Ja nie należę do płaczków – odparłem i poszedłem dalej.

Korytarz za kuchnią był mały, pomalowany na żółty kolor. Na lewo ciągnęły się schody. Na ścianie przy nich wisiały reprodukcje siedemnastowiecznych obrazów. Na górze znajdowały się tylko jedne drzwi. Widniał na nich krwawy napis: „Spirit et demoni”. Wszedłem. W środku panował istny Armagedon. Lampa potłuczona, szafa przewrócona, na środku łóżka zwłoki kobiety, które wyglądały na rozszarpane przez zwierzę. Ciało miało duże rany klute, klatka piersiowa była rozerwana jakby od środka, uszy odcięto i pozostawiono na poduszce.

Kobieta trzymała swój własny język w prawej ręce. W oczodołach spoczywały dwie monety. Twarz pozbawiona była dolnej szczęki, w miejscu której znajdował się krzyż. Dwa

pentagramy narysowane wokół łóżka splatały się w całość. Na ścianie widniał kolejny napis „Bój się, bo on wrócił. Bój się, bo on już tu jest. Bój się, bo on widzi cię. Bój się, bo tylko to pozostało”.

Chwyciłem telefon i zadzwoniłem do szefa. Kilka głuchych połączeń, aż wreszcie odebrał.

– Słucham?

– Szefie, jestem na miejscu. Właśnie oglądam miejsce zbrodni albo raczej masakry, która tu została dokonana. Czy jest pewność, że JJ to zrobił? Bo mi tu śmierdzi bardziej jakaś sekta.

– Zbierz materiały. Każdy trop jest ważny, by złapać JJ Rippera.

– OK, szefie.

Rozłączyłem się. Była już czternasta, kiedy spojrzałem na telefon.

Wyszedłem z pokoju, czułem zbyt dużo emocji, by wytrwać tam jeszcze chociaż minutę. Wróciłem do kuchni, postanowiłem wszystko zbadać. Policyjny fotograf ulotnił się gdzieś. W kuchni pojawiła strużka, która ciągnęła się aż do przedpokoju. Nie wyglądała na krew, bardziej na coś, co było połączeniem wody i rdzy. Podążyłem za nią aż do piwnicy, ale w dalszym ciągu nie spotkałem żadnego policjanta. Postanowiłem wycofać się, jednak drzwi od piwnicy zostały zamknięte. Uderzałem pięścią w drzwi, lecz nikt nie otwierał. Zszedłem po omacku na dół i zapaliłem światło. Wyjąłem telefon i próbowałem zadzwonić do kogoś, kto by mnie stąd uwolnił. Bezskutecznie. Piwnice mają to do siebie, że nie ma w nich zasięgu. Ta była mała, przerobiona na warsztat. Pełno pajęczyn sugerowało, że nikt tutaj nie gościł od kilku lat. Na stole leżała piła oraz kilka paczek gwoździ, a za stołem kilka pudełek. Podeszedłem i otworzyłem jedno z nich. Były w niej gazety, opisujące działania JJ Rippera.

„Diabeł znów bawi się nad stawem” grzmiał jeden z tytułów. Pod gazetą leżał dziennik, a na nim napisano: Jonathan James Reav.

1. kwietnia 1966

Mój ojciec znów mnie pobił, bo nie chciałem iść do Sandersów po ziemniaki. Czuję się źle. Dobrze, że mojej siostry dziś nie dotknął.

2. kwietnia 1966

Mój ojciec dziś mnie nie bił, a nawet pochwalił, że dobrze wykonałem pracę na roli. Moja siostra nie miała dziś szczęścia. Był u niej w nocy. Nie mogłem nic zrobić.

3. kwietnia 1966

Mój ojciec znów się spił. Matka wróciła od rodziny, piła razem z nim. Boję się nocy.

3. kwietnia 1966. Noc

Ojciec z matką kłóć się. Mówią coś o tym, że ona chce od niego odejść. On postanawia ją uciszyć. Słyszę krzyki. Siostra gdzieś zniknęła. Szukałem jej cały dzień. Mam nadzieję, że rodzice ją znajdą.

4. kwietnia 1966

Dalej nie ma mojej siostry. Gdy zapytałem o nią ojca, odpowiedział, że to nie moja parszywa sprawa i mnie pobił. Czuję się fatalnie. Chcę się zabić, przyszykowałem tabletki, jednak ojciec mnie nakrył i znowu pobił.

5. maja 1993

Siedzieliśmy wraz z kuzynem przy piwie i rozmyślaliśmy o życiu. Nagle kuzyn wspomniął coś o mojej siostrze. Zacząłem go bić, a potem podciąłem mu gardło puszką po piwie.

7. maja 1996

Spotkałem moja dziewczynę z jakimś chłopakiem. W nocy dałem jej nauczkę, już więcej mnie nie skrzywdzi.

10. maja 1999

On każe mi zabijać. Cały czas mi kazał, próbowałem się od niego uwolnić, jednak on jest silniejszy. Ma nade mną władzę. Boję się o życie swoje i innych. Boże, miej mnie w swej opiece.

Na tym zakończył się pamiętnik, byłem w szoku, chociaż ujrzałem tylko załóżek tego, czego „dokonał” JJ. Odłożyłem dziennik i postanowiłem raz jeszcze spróbować otworzyć drzwi. Wszedłem ponownie po schodach i z impetem uderzyłem w nie nogą, jednak bez efektu. Wróciłem na dół i zacząłem szukać okienka bądź drugiego wyjścia, także bez skutku. Byłem uwięziony w domu JJ Rippera. Zbliżała się noc. Ponownie podszedłem pod drzwi i zacząłem nasłuchiwać głosów. Nic, tylko cisza, która ogarnęła ten dom.

Zacząła się burza. Grzmot uderzył niedaleko, powodując silne trzęsienie oraz migotanie światła. Spojrzałem do kabury, moja broń była naładowana. Wróciłem ponownie na górę i strzeliłem w zamek. Udało się, byłem wolny. Wyszedłem. Chciałem udać się na zewnątrz, jednak usłyszałem krzyk wołający o pomoc, który dobiegał – o dziwo – z piwnicy. Szybkim krokiem zbiegłem po schodach, trzymając broń w gotowości. Coraz głośniejsze wołanie o pomoc doprowadzało mnie do szału, bo nie potrafiłem znaleźć osoby, która jej potrzebowała.

– Gdzie jesteś?

Nic, zero odpowiedzi, tylko głucho „pomocy”. Zacząłem podejrzewać, że być może przez przypadek włączyłem jakiś dyktafon, na którym Ripper nagrał swoje zabawy. I tym razem nie myliłem się. Był niedaleko pudełek. Podniosłem go i przewinałem taśmę do początku.

– Komisariat Tecville, rozmowa Sierżanta Randlera z podejrzanym Jonathanem Jamesem Reavem, pseudonim Ripper – usłyszałem.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Szelest, po czym nastąpiła odpowiedź.

– Jam jest piekło, w piekle wychowany, więc się piekła nie obawiam.

– Czy należysz do jakiejś sekty? Całe ciało masz pokryte malunkami.

– Powiadam wam, bójcie się, gdyż on powrócił. Strzeżcie się cienia, bo on w nim czyha.

Waszym lękiem karmi się, bo gdy was dopadnie, to będzie źle.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– On jest mym pasterzem i będę kroczył jego krwawą ścieżką.

– O kim mowa?

– Siegiel, jedyny bóg.

Szelest, po czym dziwny dialekt.

– Eh Se eh Se He.

– Kurwa, popaprańcu, powiedz dlaczego ją zabiłeś i rozpruć, ty chory sukinsynu?

– Daj mi kartkę, to ci napiszę, dlaczego to zrobiłem.

– Masz.

– Co tam namazałeś? Człowiek o twarzy kozy? Co to ma znaczyć?

– To on mi kazał zabijać.

– Gówno prawda. Wymyślasz, by tylko trafić do psychiatryka. Ja się postaram, żebyś poszedł do komory... Muszę wyjść na moment, zacznij gadać normalnie, bo zawołałam mojego kolegę, a on lubi łamać wszystko, kiedy nie jest zadowolony.

Trzasnęły drzwi.

– O panie... Wiem, że jestem grzeszny, ale pomóż, abym stąd wyszedł, a spełnię twe ofiary.

Z dyktafonu dobiegł głośny szelest i wołanie o pomoc, a potem cisza. Taśma się skończyła.

Coraz mocniej mnie dziwiło, skąd się tu wzięła taśma z przesłuchania i dlaczego JJ nie został skazany. Schowałem dyktafon do kieszeni płaszcza i udałem się ku schodom prowadzącym na górę. Wychodząc, miałem nadzieję, że już nie wrócę do piwnicy człowieka, który miał na sumieniu dwadzieścia dwie osoby. Gdy stanąłem w przedpokoju, znów usłyszałem wołanie o pomoc. Tym razem dobiegało z pokoju, gdzie znajdowały się rozszarpane zwłoki kobiety. Drzwi były zamknięte. Wołanie coraz głośniejsze. Strzeliłem w zamek i wbiegłem do środka. O dziwo,

zwłok nie było. Na łóżku pozostał jedynie ślad. Uznałem, że patolodzy zabrali ciało na sekcję.

Krzyknąłem.

– Gdzie jesteś ? Czy to jakieś żarty?

Płacz powoli przeistaczał się w chory śmiech. Dobiegał z szafy. Otworzyłem ją i zacząłem przesuwając wieszaki z ubraniami. Znalazłem ukryte drzwi. Postanowiłem zadzwonić do szeryfa, jednak brak zasięgu mi to uniemożliwił. Miałem jeszcze cztery naboje, więc wszedłem. Trzymałem telefon, by oświetlać sobie drogę i po chwili ujrzałem drugi pokój bez okien. Przypominał więzienie. Na ziemi leżał koc oraz poduszka, a obok miska z jedzeniem. Nagle telefon zgasł, zapanowały egipskie ciemności, powodując u mnie coraz większy strach. Usłyszałem, że ktoś oddycha lekko za mną. Odwróciłem się, ale w mroku nie potrafiłem nikogo dostrzec.

– Uciekaj – zawołał głos.

– Kim jesteś, do cholery?

Ktoś zaczął się śmiać, a nawet chichotać.

Spróchniałe powietrze ogarniało moje płuca, wciskając w nie dawkę kurzu i stęchlizny, co wywołało u mnie kaszel. Nagle postać poświeciła mi w oczy. Światło latarki mnie oślepiło. Przez ręce, z przymrużonymi oczami próbowałem dostrzec, kto przede mną stoi. Przeżyłem szok. Był to JJ Ripper. Ubrany w stare łachmany, wychudzony, brudny, zarośnięty. Po prostu wrak człowieka.

Wyjąłem broń i wycelowałem w niego. Światło oślepiło mnie, mimo to trzymałem go cały czas na muszce.

– Przyszedłeś po mnie, marny policjancie?

– Tak.

– To proszę, zabierz mnie stąd. Już dłużej tak nie potrafię.

Widząc go, miałem w głowie dwie myśli: albo się ukrywa przed wymiarem sprawiedliwości, co byłoby uzasadnione albo ktoś go tu przetrzymuje.

– Czy ja dobrze słyszę? Chcesz, bym cię aresztował?

– Tak. Przyznaję się do dwudziestu dwóch zabójstw. Mogę wszystko spisać na kartce, jeśli chcesz. Tylko proszę, zabierz mnie stąd.

Wyjąłem kajdanki, po czym ruszyłem w stronę JJ, chcąc go obezwładnić. Cały czas kierował światło latarki na moją twarz.

– Masz prawo zachować milczenie. Wszystko, co powiesz, może być użyte przeciwko tobie. Jeśli nie stać cię na adwokata, zostanie ci przydzielony z urzędu.

Spiąłem go kajdankami i poprowadziłem w stronę wyjścia. Czułem się cholernie zadowolony, że jako jedyny potrafiłem złapać JJ Rippera. Nagle usłyszałem jakiś dziwaczny odgłos z kuchni. Pomyślałem, że moi wrócili i kontynuują oględziny, jednak kiedy się tam zjawiłem, poczułem smród, który ciągnął się do piwnicy.

– Proszę, weź mnie stąd, nie chcę tu już być. Tu mieszka zło, to dom Siegiela.

– Kim, do cholery, jest Siegiel ?

– To człowiek o twarzy kozy, który rozdziera ludziom wnętrzności.

Spojrzałem na Rippera. Wydawał się cholernie przerażony. Odgłosy z piwnicy były coraz głośniejsze. Rippera przykułem do stołu, a sam postanowiłem to sprawdzić. Zeszedłem na dół i zapaliłem światło. Przedemną stanął człowiek o twarzy kozy, ubrany w szaty z kapturem. W dłoni trzymał nóż. Początkowo mnie to rozbawiło, jednak widząc pysk pełen krwi, zmieniłem wesołe nastawienie w konkretne działanie. Wyjąłem pistolet i krzyknąłem:

– Nie ruszaj się!

Postać z twarzą kozy zabeczwała i rzuciła się na mnie. Wystrzeliłem. Kula podążyła w stronę kozoczęłka, robiąc mu dziurę brzuchu. To jednak nie zatrzymało stwora, który rzucił się na mnie. Przewróciłem się. Broń wypadła mi z dłoni. Chwilę potem oberwałem nożem w rękę. Gdy byłem tak blisko stwora, zauważyłem coś dziwnego. On nie oddychał! Zaczęła się szarpanina, która z mojej strony prowadziła do tego, żebym znalazł się jak najbliżej broni. Oberwałem znowu, tym razem w brzuch. Ból był nie do zniesienia, jednak dalej walczyłem. Próbowałem wybić z jego ręki nóż, ale nie potrafiłem. Moją rękę od broni dzieliło już tylko kilka centymetrów. Moje palce wreszcie ją chwyciły i strzeliłem w głowę stworowi. Padł. Wstałem i zbliżyłem się do niego. Ogarnęło mnie przerażenie, kiedy zdjąłem stworowi maskę. Okazało się, że to była kobieta! Pobiegłem na górę, by sprawdzić, co u Rippera, jednak gdzieś zniknął. Zacząłem go szukać. Nagle zostałem uderzony w głowę czymś mocnym.

Obudziłem się przywiązany do krzesła. Ripper szykował na mnie nóż. Z brzucha płynęła mi krew. Ręce nie były w lepszym stanie. Oberwałem porządnie, a teraz JJ chciał to dokończyć.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Co?

– Zabiłeś moją siostrę!

– To ona się na mnie rzuciła i chciała zabić.

Widać było coraz większą wściekłość na twarzy Rippera oraz łyzy. Patrzyłem na niego, a on, wymachując nożem, kontynuował swoją przemowę. Miałem czas, by wymyślić, jak stąd uciec.

– Stul pysk. Jak mogłeś? Tyle lat ją chroniłem, a ty wszystko zepsułeś.

– Czyli już nie chcesz do więzienia? Chcesz mnie teraz zabić?

– Nie tak miało się to potoczyć. Ona miała cię zabić tak jak pozostałych. Dlatego nie dorwałem cię wcześniej, nie wyprułem twoich flaków i nie zrobiłem dla niej naszyjnika z twoich zębów. Jednak najpierw opowiem ci historię. Kiedy byłem mały, mój ojciec mnie bił, a moją siostrę wykorzystywał seksualnie. Pewnego dnia moja siostra zniknęła. Ojciec ukrył ją w tym pokoju, gdzie mnie znalazłeś i gwałcił po nocach. Pewnej nocy, kiedy matka spała, ojciec wyszedł spod

kołdry i znowu poszedł wykorzystać córkę. Poszedłem za nim. Patrzyłem chwilę na to, jak to robili, a później wbijałem mu nóż w pierś, aż przestał oddychać. Siostra była cała obolała, naga i posiniaczona. Wróciłem do matki i zapytałem, czy kocha ojca. Odpowiedziała, że tak, więc i ją zadźgałem.

Na drugi dzień pojawiła się policja. Zabrali mnie, ale jej nie znaleźli. Na policji opowiedziałem, że to Siegiel zabijał, bo wyczytałem o nim w jakiejś starej książce. Posiedziałem dwa lata w poprawczaku i wypuścili mnie. Kiedy wróciłem, kazałem siostrze uwiarygodnić naszą historię. Wpierw opierała się, potem coraz odważniej stawiała się Siegielem, aż pewnego dnia kazała mi zabijać.

Nie miałem wyrzutów sumienia. Wystarczyło mi to, że znów mam moją kochaną Roksanę. Pewnie czytałeś mój dziennik, kiedy Roksana zamknęła cię w piwnicy. Cóż, nie do końca chciałem gwałcić moją dziewczynę, ale Roksana mnie zmusiła. Mówiła, że jest parszywą suką i musi zginąć. Siegiel rósł w siłę i Roksana przestawała być kobietą, a stawiała się kozoczęłkiem, który wypruwa flaki, żywiąc się wnętrznościami. W pokoju na górze widziałeś dzieło Roksany. To była jakaś prostytutka, którą zwabiłem w nocy dla niej...

Cała ta historia wydawała się nieprawdopodobna, lecz teraz siedziałem przywiązany na krześle i nie potrafiłem nic poradzić. JJ nie był mistrzem w wiązaniu węzłów, co dało mi szansę na uwolnienie się. Oswobodziłem szybko ręce i rzuciłem się na niego. Rany klute, które otrzymałem od Siegiela powodowały, że nie był to energiczny rzut. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Udało mi się jednak wybić Ripperowi nóż z ręki. Zacząłem bić go po twarzy. Kiedy był już nieprzytomny, plunąłem mu w gębę.

– Ty cholerny popaprańcu. Ty i twoja siostrzyczka już nikomu nie zagroziecie, nigdy.

Po tych słowach związałem go tak mocno, że aż krew lekko pociekła mu z nadgarstków. Wydostałem się z nim ze stodoły i zadzwoniłem do szefa.

– Szefie, mam go! Mam JJ i proszę też o karetkę, jest tu zabita kobieta.

– Świetnie, daj go chłopcom, bo jeszcze tam mają oględziny.

– Ja nikogo tu nie widzę.

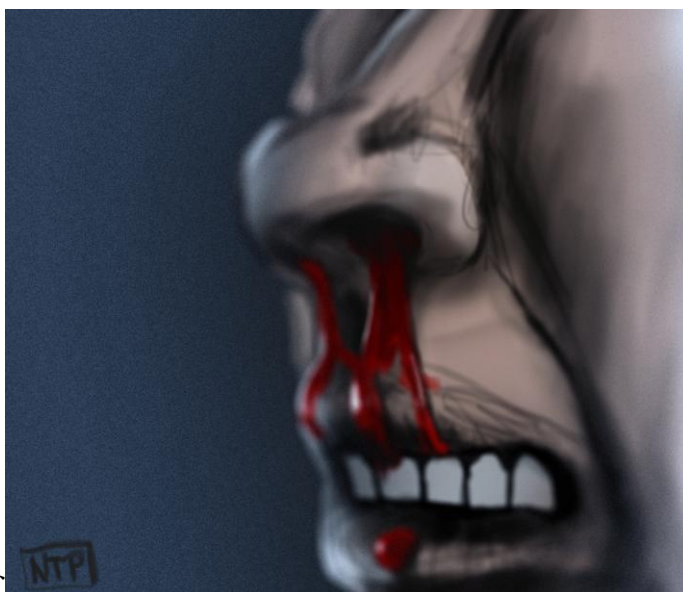
Nagle JJ przebudził się i oznajmił:

– Siegiel ich dopadł.

Uderzyłem go telefonem, co spowodowało rozłączenie. Zaciągnąłem go do auta. Jeszcze raz sprawdziłem, czy jest dobrze związany. Wsadziłem go na tył samochodu i odjechałem.

Spojrzałem jednak jeszcze w okno domu i ujrzałem Siegiela. To na pewno było tylko moje złudzenie, wywołane ciosami, które mi zadano, bo przecież ona zginęła...

rys. Roman Panasiuk



KRWOTOK

Francis Violento

Zamrożone płatki śniegu niczym natrętne piranie złowieszczo kąsały czerwone policzki. Niektóre z nich próbowały wpaść do oka, by stworzyć nowe soczewki. Drakoński wichur bezlitośnie owijał swym szalem zziębnięte karki. Potężna zamieć tworzyła coś na wzór mglistej kurtyny, utrudniając widoczność kierowcom. W takich oto warunkach Artur Krzywiński wracał z pracy do domu. Wyciągnął przed siebie opatulone rękawicami dłonie, myśląc, że postawa obronna uchroni go przed szalejącym żywiołem. Jaka szkoda, że jego samochód kolejny już dzień drzemał w warsztacie. Gdyby wtedy skręcił w ulicę Polną, zamiast jechać wzdłuż Bukowskiej, na pewno uniknąłby kolizji z podchmielonym maniakiem prędkości, który postanowił sobie, ot tak, dla poprawy nastroju, przypierdolić z całej siły w klapę jego bagażnika.

– Zachciało mi się drogi na skrót, psiakrew! – warknął pod nosem Artur, roztrzaskując powstałe na brodzie lodowe lustra.

Zima w tym roku wyjątkowo długo spała sobie smacznie, zastąpiona przez jesienne brązy. To dlatego święta Bożego Narodzenia wyglądały tak ponuro. Postanowiła uaktywnić się dopiero w połowie lutego, ale za to z całym impetem. Najwyraźniej Eol nie potrafił zdecydować się, który wichur wypuścić ze swojego worka, dlatego dał wszystkim pole do popisu. Jeszcze tylko trąby

powietrznej zabrakło w tej całej kakofonii. Wieczne wiadomości wręcz huczały o wypadkach, kontuzjach, nagłych zamarznięciach i staruszkach przekręcających się w przydrożnych rowach. Szalejąca śnieżna zamieć za nic miała sobie ludzką godność – szczypała ją, kopała i wyginała na wszystkie strony, drwiąc sobie bezlitośnie ze wszystkich poznaniaków. Na oczach Artura jakiś szczupły jegomość w zielonej kurtce wywinął kozła na oblodzonym chodniku. Mężczyzna nie chciał pomóc; skręcił w boczną uliczkę, by jak najprędzej dostać się do swojego mieszkania. Nie żeby był egoistą czy coś. A może? Po prostu sterta codziennych problemów przytłaczała go tak bardzo, że nie miał ochoty zwracać na siebie dodatkowej uwagi. Wołał pozostać niewidzialny – jak demon, który wyczyniał na zewnątrz zimowe harce. Niech się ślizga ta pluskwa na zmrożonej szklance, a co!

Nie minęło nawet pięć minut, jak Artur przekręcił klucz w zamku. Nieśmiało przeszedł przez przedpokój. Ściągnął ciężkie, trekkingowe buty dopiero na końcu korytarza. Odetchnął z ulgą, gdy strumień ciepłej wody obmył dokładnie jego zziębnięte, pulsujące czerwienią dłonie. Dopiero gdy wyszedł z łazienki i odstawił obuwie na dywanik, zauważył w sąsiednim pokoju swego dziesięcioletniego syna Korneliusza, odrabiającego lekcje w świetle biurkowej lampki.

– Cześć. Znowu matka?

– Tak, tato – odpowiedział chłopiec ponuro jak mara z zaświatów. – W dodatku geometria...

– Och, dobrze wiem, jak ciężko idzie ci praca z przyborami. Ale musisz się postarać.

Pamiętaj, że w tym semestrze walczysz o piątkę na koniec roku.

Cichutko odszedł od drzwi, nie zamierzając wdawać się w dalsze dyskusje. Mógł mu pomóc. Przecież jako pracownik biura rachunkowego dobrze znał się na naukach ścisłych. Ale nie teraz. Nie dziś. Magiczne słowo „później” stopniowo nabierało w jego życiu namacalnego znaczenia. Korneliusz był dla niego ważny, ale jako ojciec w żaden sposób nie potrafił tego okazać. Nawet nie chciał. Czuł się od środka potwornie spięty, jakby jakiś chirurg-maniak pozszywał mu razem wszystkie organy. Jednak mimo to gryzły go wyrzuty sumienia. Lawina długów ugniatała jego szywny, zdrętwiały kark niczym strop rozsypującej się katedry. Artur często miał wrażenie, że wisi nad nim niewidzialny bat, który z każdym rokiem stopniowo zrównuje go z ziemią. Nagle poczuł silne uderzenie w głowę. Potylica pulsowała od bólu zadanego przez kobietę pięścią.

– Mógłbyś mi powiedzieć, po chuj wlałeś w brudnych papciach do mieszkania?! – wrzasnęła oburzona Magda, wyszedłszy z sypialni. – Wczoraj cały dzień myłam na klęczkach zasyfioną podłogę, podczas gdy ty leżałeś do góry brzuchem przed telewizorem z piwskim w rękę!

– Bardzo przepraszam, ale ktoś musi pracować na wasze utrzymanie – odparł Artur nad wyraz spokojnie, jakby nic się nie stało. Sięgnął po leżący w toalecie mop, w celu przetarcia mglistych śladów.

– Że co?! Ty pr...Ty pracujesz na moje utrzymanie?! – wrzasnęła ile sił w płucach. Jej

urazona duma rozgrzała się do czerwoności niczym płonąca czaszka. – A kto pożyczył ci trzydzieści tysięcy na rozkręcenie biznesu? I gdzie to wszystko jest, ja się pytam! Oddawaj moje pieniądze, złodzieju, bo ci roztrzaskam ten zapijaczony ryj!

Trzy lata temu Artur otrzymał propozycję nie do odrzucenia. A przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Kolega Waldek sprowadzał z zagranicy nielegalny, prawdopodobnie kradziony sprzęt komputerowy, by sprzedać go na miejscu po okazyjnych cenach. Przeważnie płyty główne, karty graficzne i wentylatory, ale zdarzały się również kompletne zestawy, wysokiej klasy maszyny dla prawdziwych graczy. Waldek zasugerował możliwość współpracy, pod warunkiem, że otrzyma dodatkowe pieniądze, by zainwestować w interes. Aż wstyd się przyznać, ale niewielka część kwoty została przeznaczona na usługi burdelowych perełek i wspólne popijawy w barze. Gdy machina biznesowa ruszyła, kolega po pierwszej fali sukcesów w dziwny sposób ogłosił kapitulację i potajemnie wyjechał za granicę. Do dziś jedynym śladem po nim został cichy szczebiot automatycznej sekretarki. Rzecz jasna, wizyta na komisariacie nie wchodziła w rachubę. Artur za wszelką cenę chciał uniknąć podejrzeń o współudział w przestępstwie.

– To bank cię utrzymuje, popierdolony pajacu! Już niedługo własne śmierzące gacie zastawisz! – krzyczała Magda, obserwując, jak jej mąż nieudolnie wyciera podłogę. – Ja nigdy niczego nie ukradłam, nie pożyczałam, nie brałam na kredyt. Te trzydzieści tysięcy zarobiłam sama, ciężką pracą w magazynie odzieżowym, przez pięć lat odkładałam! A ty, śmieciu, wyrwałeś je sobie nikiemnie brudnymi łapskami!

– Przecież sama mi dałaś te pieniądze – odpowiedział Artur chłodno.

– A miałam inne wyjście?! Obiecywałeś gruszki na wierzbie! Opowiadałeś, jak wszystko w naszym życiu ulegnie poprawie! Rozjebałeś całą kwotę co do grosza, gazelo biznesu! Pewnie, że cię okradli, bo przecież przez całe życie miałeś oczy w ciemnej dupie, a głowę na chmurce fantazji! Dla mnie byłeś, jesteś i będziesz zwykłym zerem, gorszym niż wesz! Bo wesz można rozgnieść, a ty czepiasz się jak wrzód na dupie i nie pozwalasz innym normalnie żyć! Nienawidzę cię, oddawaj moje pieniądze!

Magda wyrwała mężowi mopa z ręki, wzięła olimpijski zamach i z całej siły uderzyła go w prawą skroń. Artur osunął się na drzwi toalety i przycisnął w milczeniu palce do obolałego miejsca. Fioletowa plama oblała skórę jak wstrzyknięta igłą trucizna. Gdy trzonek upadł na podłogę, zalękniony Korneliusz wychylił głowę z pokoju.

– Zobacz, co robisz, jędzo. Wystraszysz dziecko! – krzyknął Artur, próbując wstać i utrzymać równowagę w pionie.

– I dobrze! Niech wie, że jego tatuś jest zwykłą gnidą i kupą gówna!

Mężczyzna wszedł do łazienki i przyczepił palce do ścianki umywalki, by ponownie nie upaść. Wiecznie zdominowany, gwałcony przez drut losu, nie potrafił przeciwstawić się tyranii

żony. Wiedział, że popełnił w życiu masę błędów, choć z trudem przyjmował wszystkie cięgi. Nagle przypomniał sobie anielskie oblicze matki, która zmarła na raka, gdy miał zaledwie dziewięć lat. Tak dawno nie zapalił znicza na jej szarym, pokrytym zwiędłymi liśćmi grobie... I wtem z jego nosa pociekły do zlewu czerwone krople. Delikatne plamki po chwili zmieniły się w silny krwotok. Wciąż spuchnięty od zimna nos pełnił teraz funkcję makabrycznego kranu.

– Uderzyła mnie tak mocno, że popękały w środku jakieś naczynka – szepnął piskliwym tonem, gdy w skroni ponownie zagościł pulsujący ból. Nieudolnie próbował zatamować strumień krwi, a rozwścieczona Magda jak zdarta płyta ponowiła swe złowieszcze kazanie. – Niech ta zołza usmaży się w piekle!

Jej blada twarz. Teraz kruszyła się jak pergamin zbyt długo pozostawiony na słońcu. Wspomnienie rodzicielki bezlitośnie odpływało z akwarium jego myśli, za nic mając sobie gorejące uczucie smutku. Dlaczego umarła? Za talerz rozbity na kawałki, a może nocny płacz? Złamane serce dziecka krwawiło, jakby zostało oplecione przez sieć ostrych, palących parzydełek meduzy. Pochmurne niebo cierpiało razem z nim.

– Mamo! Gdzie jesteś?! – wykrzyknął chłopiec, kierując swoje pytanie w stronę wiotkich, kołysanych przez wiatr kłosów zbóż. Odpowiedziało mu wyłącznie dudnienie kościelnego dzwonu w oddali. Dum! Dum! Dum! Artur otrzymał zaproszenie na ostatnią mszę. Garstka żałobników nałożyła na siebie czarne, postrzępione szaty, gdyż tak nakazywał zwyczaj... Wszyscy pokornie ustawili się pod witrażowymi oknami, ukrywając pod maskami smutku powszechne znużenie.

Marek Kownacki otworzył zamasyżycie drzwi, gdy Artur zdejmował szalik i wyciągał dokumenty z segregatora jednocześnie. Położył na biurku kolejny stos papierów, a następnie rozpoczął oficjalną mowę swym gruboskórnym, nieprzystępnym tonem.

– Krzywiński, to już kolejne spóźnienie w tym miesiącu.

– Ale szefie, na zewnątrz panuje zamieć i...

– Gównu mnie to obchodzi – uciął bezlitośnie z demonicznym wyrazem twarzy. Jego małe, świdrujące oczka wyglądały teraz jak porzeczeki wtłoczone w prostacką, nalaną gębę.

– Musiałem jeszcze uprasować koszulę i...

– Hahaha, a to dobre! – ryknął Marek, ściskając świńskimi rączkami swój pękaty brzuch. – Skoro jesteś taki przedsiębiorczy, to może wybudujesz jeszcze stację metra pod ziemią, aby zjawiać się na przyszłość o odpowiedniej porze? To jedna sprawa, teraz przejdę do drugiej kwestii. Efektywność twojej pracy wyraźnie spada wraz z kolejnym miesiącem. Ucinam ci pensję o dwieście złotych.

– Ale jak to, nie może pan! – krzyknął Artur, już całkowicie wybudzony ze snu o purpurowych lemingach. Choć trzeba przyznać, że ta informacja podziałała na niego wyjątkowo elektryzująco.

– Owszem, mogę jeszcze wprowadzić redukcję etatów.

– Boże, przecież ja mam kredyt...

– Boga nie mieszaj w swoją nieporadność, Krzywiński. Gdyby Bóg siedział przy tobie w chwili narodzin, być może nie byłbyś dzisiaj takim nieudacznikiem. Widzisz te papiery? Wszystko ma być wypisane do końca dnia. Staraj się, a za dwa miesiące może porozmawiamy w nieco innej atmosferze.

Mówiąc to, Marek opuścił pomieszczenie i trzasnął drzwiami, lecz te pod wpływem uderzenia uchyliły się delikatnie, by obnażyć uroki sterylnie wysprzątanego korytarza. Artur ze wszystkich sił nienawidził swojego szefa. Gdy widział tę chodzącą beczkę sadła w markowym garniturze, obwieszoną cepeliowymi świecidełkami jak groteskowa choinka, miał ochotę zapaść się z wściekłości pod ziemię. Zimny, łysy skurwysyn z mikroskopijnym mózgiem, uciskanym przez hektolitry tłuszczu, pewnie wybudował to biuro na mogiłach swych najbliższych. Mężczyzna zastanawiał się, kiedy ten zbiornik szamba wreszcie pęknie i przestanie zatruwać życie wszystkim pracownikom. Klnąc pod nosem, pokornie usiadł przy biurku i chwycił pierwszy z brzegu plik dokumentów. Musiał wyteńczyć wzrok, gdyż wszystkie litery i cyferki zlewały się ze sobą w jedną bezkształtną masę. Zirytowany Artur zaprzęął do współpracy ostatnie strzępki koncentracji i przycisnął czarny długopis do kartki jak dłuto. Żmudna praca zdawała się nie mieć końca; góra papierów spoglądała na niego złowieszczo, krzywiąc się jak wieża Babel, spirala pomylenia. I tak minęły kolejne trzy godziny.

Gdy przyszedł czas na przerwę, Artur poszedł do kawiarenki, by zamówić sobie filiżankę mocnej kawy. Zdziwiła go wszechobecna cisza. Najwyraźniej reszta pracowników wciąż rozdawała się w swoich pokojach ze strachu przed niespodziewanym zwolnieniem. Na drugim końcu sali dostrzegł wyłącznie Asię, czterdziestoletnią blondynkę o aparycji Pameli Anderson. Kryptonim: Biurwa. Pamiętał, jak podczas pierwszej imprezy zespołowej w pubie Lachon pod wpływem alkoholu próbował ją dla żartu poderwać, jednak zaprzestał, gdy jego miernej jakości zaloty zostały przecięte rapierem pogardy. Nigdy nie zapomni jej nienawistnego, obłudnego spojrzenia. W tamtej chwili poczuł się jak bezużyteczny, leżący na chodniku karton, który każdy może do reszty skopać i rozgnieść swymi ubłoconymi buciorami. A darmowe piwo dla tego, kto gratisowo odda mocz, a najlepiej wyrzyga się na ten kawałek tektury i pójdzie w swoją stronę, o wszystkim zapominając. Gdy kobieta zauważyła go w kawiarni, czym prędzej odwróciła głowę i utkwiała wzrok w swoim polukrowanym od pączka talerzyku, jakby chciała samą siebie ukarać za spojrzenie w jego kierunku.

– Rusz się, imbecyłu! Przerwa jest dla mądrych ludzi! – warczał z progu Marek, pobrząkując złotymi błyskotkami na nadgarstku.

– Dokładnie! Do roboty, łamago! – powtórzył Adrian, który wychylił głowę zza kurtyny tłuszczu. Pupilek i prawa ręka szefa. Złota, wiecznie przytakująca marionetka z plastikowym uśmiechem na przypudrowanej twarzy. Nażelowany goguś po studiach zaocznych, który spędza wolny czas na wędrówkach po centrach handlowych w poszukiwaniu markowych ubrań i przygodnym seksie (również w toaletach centrum). Artur nie chciał wiedzieć, jakie relacje łączyły tę dwójkę, zwłaszcza w godzinach nocnych. Na samą myśl o tym żołądek podchodził mu do gardła. Dlatego wołał po prostu wypić resztę kawy jednym haustem i pokornie, ze spuszczoną głową, powrócić na stanowisko pracy. Gdy zasiadł przy biurku, z nosa ponownie pociekły mu krople krwi.

Kiedy Artur przekroczył próg mieszkania, zganiał siebie za to, że zapomniał kupić korków do uszu. Najlepiej takich z długowiecznym terminem ważności. Szalejąca zamieć popchnęła go prosto na przystanek autobusowy. Zamierzał spędzić resztę czasu pod kocem z puszką piwa w ręku, oglądając w telewizji długo nieemitowany klasyczny western. Jednak magiczne „pstryk”, towarzyszące usuwaniu zawlecзки, natychmiast pobudziło struny głosowe Magdy, która w mgnieniu oka postanowiła opuścić gniazdo swej sypialni. Dwa kwadransy głośnego, złośliwego monologu potraktowała najwidoczniej jak rozgrzewkę lub... Ciszę przed burzą!

– No ależ oczywiście, że sobie nie radzisz – kontynuowała swym impertynenckim tonem, celowo przedrzeźniając męża. W swym różowym szlafrocuku wyglądała jak parodia damy dworu. – A wiesz, czemu? Bo tam trzeba pracować! Gdyby zamiast dokumentów daliby ci do ręki czteropak, na pewno pokazałbyś większą klasę! Nie po to załatwiłam ci to stanowisko, ty rozjebana cioto, żebyś mi wstyd przynosił! – warknęła, podnosząc głos.

– Skoro tak, to może sama sobie tam pójdziesz! – zachnął się Artur. – Prócz spania do południa i rozmów telefonicznych z siostrzyczką będziesz miała normalne zajęcia!

– Przypominam, że mam zwolnienie lekarskie – zadrwiła kobieta, obracając się na pięcie. – A zresztą, nie zamierzam tłumaczyć się takiemu śmieciowi.

– No pewnie, najlepiej do reszty zamilknij.

Nie przyznał się żonie do wszystkich prac, jakie wykonywał przed podjęciem stanowiska w biurze Kownackiego. Gdyby to uczynił, musiałby wysłuchiwać pod swoim adresem jeszcze więcej gorszych obelg. Rozprawiał o sprzedawaniu starych, zakurzonych obrazów w całodobowym antykwariacie (są takie?), podczas gdy naprawdę...

Uzbrojony w niebieskiego mopa, wiadro z wodą i szmatkę obserwował z trwogą, jak dwójka opalonych mężczyzn wychodzi z ciasnej przegrody, trzymając się za ręce.

– Pieprzone cioty – kłął pod nosem, nie mogąc znieść widoku obściskującej się pary.

Kiedy szef popchnął go z całej siły, wylądował w samym centrum cuchnącej kabiny. Przez przypadek zanurzył twarz w stercie zużytych prezerwatyw. Gęste nasienie spływało z rozgrzanych policzków jak majonez. Czerwone światła neonów wpatrywały się w niego oskarżycielsko.

– Wszystkie rzędy mają być posprzątane w przeciągu dwóch godzin. W przeciwnym wypadku sam wyrucham cię w dupę – usłyszał pod swoim adresem Artur, gdy wycierał instynktownie wilgotne miejsca na ciele.

Kilka metrów dalej dało się słyszeć stukot krzeseł oraz dziwne, obsceniczne jęki.

– O tak, po same jaja! – wrzasnął na całe gardło jakiś wulgarny, anonimowy penetrator.

Kiedy Artur próbował podnieść się z brudnej podłogi, nagle potworny smród obalił go z powrotem na ziemię. To strużka rzadkiego kału spływała swobodnie ze ścianek kabiny...

– Jeszcze jedno słowo, a was wszystkich rozpierdolę. Myślicie, że jestem wyłącznie bezbronną ofiarą? Diabłu się zaprzędam – wycedził przez zaciśnięte zęby i mimowolnie zabrał się do sprzątania. W jednej z przegród ktoś zwymiotował na podłogę całą kolację!

Rozjuszona Magda wpadła do pokoju jak szalejąca zawieja i zamaszystym ruchem zerwała kołdrę z kolan Artura.

– Posłuchaj mnie, kurewska wszo! Jeszcze jedno takie słowo, a dostaniesz po ryju! Przysięgam, że rozłupię ci tę pierdoloną mordę na pół! Jeszcze chwilę!

– Ale co ja takiego zrobiłem?! Oglądam w spokoju film, a ty przychodzisz tutaj i od kilku dni robisz wielką aferę o nie wiadomo co!

– Nie wiadomo, tak?! Komornik do mnie dzwonił! Myślisz, kurwa, że ja mam ochotę od obcych facetów odbierać telefony w sprawie twoich długów?!

– To zawieś połączenie i sprawa załatwiona.

– Aha, i myślisz że wszystko wróci do ładu, tak? No pewnie, najlepiej schować głowę w piasek jak struś! Tak robią tylko osoby twojego pokroju! Łachmyty. Gówna. Śmiecie.

– Ile jeszcze wymyślisz tych mądrych epitetów? Dziecko jest w drugim pokoju, wszystko słyszy.

– Ty od tego dzieciaka lepiej się odpiardol! Jakim jesteś ojcem? Kiedy ostatnio wyszedłeś z nim na spacer? Albo do kina? Czy choć raz wyprałeś mu bieliznę? I jeszcze śmiesz się na niego powoływać, bydlaku? Ty nie masz jaj, tobie je odcięli przy urodzeniu i dali psom do pożarcia! Zresztą nawet nie, bo jeszcze pies by się zatruł! Łaskawie zrobiłeś jakiś gówniany kursik przedsiębiorczy, prosiłeś mnie i błagałeś, żebym załatwiła ci tę pracę, i tak mi się za wszystko odwdzięczasz?! Ludzie w biurach i korporacjach mają studia pokończone, nawet dwa kierunki!

– Pomogłaś mi, ponieważ boisz się o własną dupę! Cykasz się, że pewnego dnia wejdzie tu komornik i weźmie ci z sypialni łóżko, na którym tyle czasu się wylegujesz! Jesteś taka sama jak Kownacki, oboje myślicie wyłącznie o sobie!

– Ty się lepiej do Marka nie porównuj, bo to inny typ faceta! Z klasą przede wszystkim. Ciężką pracą doszedł do tego, co teraz ma, więc może sobie pozwolić na besztanie gówna twojego pokroju!

– On i ciężka praca? Haha, bardzo dobre. No ale ty jak zwykle wiesz wszystko najlepiej, więc po co w ogóle ta dyskusja...

Zdenerwowany Artur przeszedł do kuchni, by wziąć jakieś leki na uspokojenie. Choćby miał je popić piwem. Niestety, nie znalazł niczego prócz resztek aspiryny. Po chwili namysłu postanowił nastawić sobie wodę na herbatę miętową.

– Kiedy cię poznałam, nie miałaś złamanego grosza przy duszy. Pracowałeś na targu i sprzedawałeś chińską bieliznę! I tylko mi opowiadałeś, jakie masz plany na rozpoczęcie cudownych interesów! Tłumaczyłeś, że szefa nad głową nie potrzebujesz, bo do wszystkiego dojdiesz sam. Już budowałeś pałace, pieliliś ogródki i wyjeżdżałeś na cudowne wakacje do Hiszpanii. Chyba palcem po mapie, skończona łamago! Najwyraźniej za młodu ktoś przypierdolił ci w czoło niewłaściwą huśtawką!

– Kobieto, zejdz już ze mnie, daj spokój! – odpowiedział Artur pełnym rezygnacji tonem. Żona wyssała z niego większość energii niczym krwiożerczy wampir, przez co czuł się teraz jak balonik, z którego ucieka powietrze. – Dlaczego ty mnie tak bardzo nienawidzisz?

– Bo za ciebie wyszłam, zapluta mendo!

Nagle poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Potok wulgarnych słów stopniowo przebijał się przez tamę cierpliwości, którą wznosił gorliwie przez tyle lat. Nadchodził kres jego wytrzymałości psychicznej. Czy powinien godzić się na żywot wiecznie ponizanej marionetki, mimo że nieświadomie popełnił w życiu masę błędów?

– Przyznaj się, w jaki sposób załatwiłaś mi tę pracę. Dałaś dupy Kownackiemu! – wyrzucił z siebie gwałtownie, gdy puściły mu już wszystkie hamulce.

– Ty wredny skurwysynu, jak śmiesz! – krzyknęła Magda i rzuciła się na męża z pięściami. Miała zamiar przeorać jego twarz ostrymi paznokciami. Kiedy wyciągnął dłonie przed siebie

w obawie przed atakiem, chwyciła go za gardło i z trudem przewróciła na podłogę. Bez namysłu zadała mu cios kapciem w lewe udo, gdy kulił się ze strachu obok grzejnika. W przypiływie złości chwyciła leżącą na barku butelkę piwa i z całej siły rąbnęła nią o ścianę, aż całe pomieszczenie przeszył złowieszczy brzdęk. Patrzyła płonącym wzrokiem, jak szkło roztrzaskuje się na kawałki, a żółta ciecz opryskuje srebrny okap i kafelki nad zlewem.

Dopiero po chwili oboje dostrzegli Korneliusza, który obserwował całe zajście z korytarza, tonąc we łzach.

– I zobacz, co narobiłaś, ty głupia wariatko!

– Bardzo dobrze. Niech zobaczy, co sobą reprezentuje jego żaloszny tatuś! To dlatego ja tego dzieciaka zmuszam do nauki, żeby sobie życie inaczej poukładał! Może na przyszłość doceni moje starania i nie będzie znęcać się nade mną psychicznie jak ty!

– Mam tego dosyć, wychodzę stąd!

– I dobrze! Uciekaj dalej, łamago! Uchlej się jak świnia, bo tylko to potrafisz w swoim żalosznym życiu! Wiesz co? Życzę ci, żebyś zdechl! Żałuję, że w ten samochód ktoś nie przypierdolił jeszcze mocniej!

Artur bez słowa wyszedł na korytarz, porwał w biegu kurtkę i dokumenty, by natychmiast opuścić mieszkanie. Nie był nawet w stanie spojrzeć w oczy własnemu synowi. Obawiał się, że dostrzeże w nich miniaturowe odbicie samego siebie. Cień bezużytecznego śmiecia.

Rozmawiały ze sobą przez skype w sposób niezwykle podniosły i egzaltowany. Różowy szlafroczek opisywał łamanym głosem ostatnie wydarzenia, a granatowy po drugiej stronie słuchał z niedowierzaniem, głośno przytakując i współczując. Padały ostre wulgaryzmy, wiekopomne groźby, a nawet wypowiedane z pełnym przekonaniem życzenia śmierci. Ciepłe herbatki znikwały z porcelanowych kubeczków, a miętoszone w dłoniach chusteczki w mig pokrywały się wilgocią. W tym samym czasie ostra żyłtka oszpeciła kolejny już fragment kolan Korneliusza...

Artur pojechał tramwajem na Dębiec, by spotkać się z dawno niewidzianym kumplem. Mimowolnie wdychał ciężkie, chłodne powietrze, przesycone zapachem alkoholu i rzygowin – pozostałości po nocnym zgromadzeniu okolicznego menelstwa. Gdy oparł się o metalową bramę kamienicy, by chwilę odpocząć, dostrzegł w oddali czarnego kundla, grzebiącego w stercie porozrzucanych niedbale śmieci. Postanowił kontynuować wędrówkę, nie mogąc znieść widoku odrapanej, cuchnącej moczem kamienicy. Przycisnął rękaw kurtki do nosa w celu zatamowania krwotoku. Kropelki szkarłatu ciekły po zamrażniętych dłoniach. Postanowił, że w przyszłym tygodniu uda się z tym do lekarza, o ile wcześniej nie zeżrą go od środka armie pulsujących

nerwów. Serce kołatało w klatce piersiowej, wybijając nierówne rytmy. Opadające na chodnik płatki śniegu skutecznie ograniczały widoczność, lecz mężczyzna i tak miał przed sobą wyłącznie karykaturalny obraz swej rozwścieczonej żony.

Mistrzynie w rządzeniu i pokazywaniu palcem. Wulgarna, pozbawiona empatii materialistka do potęgi dziesiątej. *Hrabina Cosel, psiakrew*. Skoro wiecznie narzeka na swój los, dlaczego sama nie pójdzie do pracy, by zwiększyć swoje profity? Owszem, wiele jej naobiecywał, a dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. Jednak starał się być przy tym łagodny, kulturalny i szarmancki. Bez popadania w przesadę, rzecz jasna. Naprawdę wierzył, że wspólnie mogą wiele osiągnąć. Przerosła go życiowa codzienność. *I jak tu nie pić!* Artur zauważył to, co spędzało już sen z powiek wielu samcom na kuli ziemskiej – wraz z postępem technologicznym wszystkie kobiety stały się wredne i oschłe. Panie myślą dziś wyłącznie o pieniądzach. Wrażliwych mężczyzn uważają za mięczaków, a bezwzględnych łotrów darzą szczególną sympatią i respektem. Wolą dać się zeszmacić przez jakiegoś łysola z napchanym portfelem, by później płakać w rękaw tych, którzy ofiarowują swą miłość na talerzu. *Głupie dziwki*.

– A ty co tutaj robisz?

Cóż za zbieg okoliczności! Nogi same sprowadziły go pod właściwą klatkę schodową! Głos kolegi błyskawicznie wyrwał Artura z myślowego impasu. Gdy odwrócił głowę, dostrzegł przed sobą umięśnionego, przysadzistego bruneta z trzydniowym zarostem, w skórzanej kurtce, wojskowych butach i zamszowych rękawiczkach. Obraz ten wybitnie kontrastował z chuderławą, zagłodzoną marą z przeszłości.

– Cześć, Jacek! – zaczął nieśmiało. – Eee, wyobraź sobie, że właśnie zamierzałem złożyć ci wizytę. Widzę, że całkiem nieźle ci się powodzi.

– A weź ty się ode mnie odpierdol, szmaciarzu.

Młot pogardy i obłudy ściał Artura z nóg.

– Że jak? Nie pamiętasz mnie? To ja, Arti! Chodziliśmy razem na piwo, remember? Szafa grająca, papierosy klubowe i te sprawy...

– Pamiętam, niestety. Dlatego dobrze ci radzę, wypierdalaj. Zmądrzałem już. Wyprowadzam się z żoną za dwa tygodnie. Kupiliśmy wspólnie działkę pod Poznaniem. Więc cieszę się, że nie będę już więcej oglądać twojej zapijaczonej mordy!

– Żona, tak? Jesteś całkiem nieźle ustawiony! – kontynuował Artur, ignorując obelgi. – Pokaż jakieś zdjęcie, na pewno ładna z niej dupa!

Zbulwersowany Jacek chwycił kolegę z dawnych lat oburącz za gardło i przycisnął mocno do słupa latarni, pokrytego w całości cienką warstewką lodu. Powoli zaczęło się ściemniać. Wszechobecną szarzyznę stopniowo wypierał wieczorowy granat. Wirujące płatki śniegu dosłownie zniknęły. Zostały, niczym dekoracja, która znudziła się publice, zastąpione przez porywisty,

kąsający wiatr.

– Posłuchaj mnie raz, a dobrze, bo więcej nie będę się powtarzać. Brzydzę się tamtych dni. Sprowadzałeś mnie na samo dno jak armatnia kula przyczepiona do kostek. Gdyby nie moja żona, pewnie dalej siedziałbym w tym rynsztoku. Teraz mam kochającą rodzinę, wspaniałą pracę i szerokie perspektywy. Wiesz, jak na ciebie mówili w okolicy? Człowiek Problem! Zabiedzony, wiecznie zadłużony nałogowiec bez grosza przy duszy. Nie zmieniłeś się nawet o cal! Poza tym Magda dzwoniła do mnie i powiedziała, że znęcasz się psychicznie nad własnym dzieckiem!

– Wredna suka! – warknął Artur, gdy uścisk na jego szyi odrobinę zelżał. – Zawsze wszystko przeinacza i koloryzuje, bo chce przed całym światem wyjść na niewiniątko! A ty?! Ufasz ludziom na ślepo? Dlaczego jesteś taki agresywny? Nie wyprzesz się tego, co przeżyliśmy razem! Widzę, że to wszystko dalej w tobie siedzi!

– Nieprawda! – wrzasnął Jacek, po czym obalił kolegę na ziemię. Jego masywnym ciałem wstrząsały dreszcze, a źrenice były nadmiernie rozszerzone. – Pewnie chcesz, żebym się nad tobą litował, ale nic z tego! Osho mądrze powiedział. Tacy ludzie jak ty nie potrzebują pomocy, ale ulgi we własnym cierpieniu! Jesteś bezwolną kukłą, Artur!

– To życie niesłusznie mnie pokarało...

– Alkohol jest dla ludzi mądrych! Można się napić, ale z umiarem! Twój problem polega na tym, że uwielbiasz żyć w zamku iluzji! Oczekujesz, że los będzie cię wiecznie głaskał po dupie! Gdyby jednak ktoś mądry zasadził ci kopa w mordę, może wreszcie byś przejrzał na oczy! Bankierzy byli źli, bo żądali spłaty długu. Wódka była zła, bo sama wlewała ci się do gardła! A ty, biedaczku, siedziałeś na krześle spięty pasami bezpieczeństwa, nie mogąc wyrazić ani grama sprzeciwu! Kurwa, zrozum wreszcie! Pokusy istniały od wieków i nadal będą istnieć! To od ciebie zależy, czy wpuścisz je do siebie, pierdolony lemingu! Przeczytaj „Pinokia” Collodiego, może to ci wiele rozjaśni!

– Jakaś sekta zrobiła ci pranie mózgu – skwitował wystraszony Artur, gdy zerwał się na równe nogi i spojrział koledze prosto w oczy. Ten jednak odwrócił głowę i zaczął powoli zmierzać w kierunku mieszkania. Sięgnął do kieszeni po klucz, by otworzyć drzwi klatki schodowej.

– Ja po prostu zmądrzałem, imbecyлу. Lepiej już wracaj do swojego barłogu. I powtarzam raz jeszcze – alkohol jest dla ludzi mądrych.

– A narkotyki?

Jacek obrócił się na pięcie i uderzył byłego kolegę pięścią w nos. Gdy mężczyzna upadł na chodnik, kopnął go kilka razy w żebra, splunął rzęsiście i zniknął bez słowa we wnętrzu budynku. Całe osiedle, skąpane w goryczy i melancholii, wydawało się całkowicie opustoszałe. Jedyne bezdomny kot zataczał kręgi wokół zdewastowanego trzepaka. Cierpienie Artura odbiło się szerokim echem od ścian ponurych blokowisk. Puste reflektory samochodów wpatrywały się

w niego beznamiętnie.

– Za jakie grzechy ja tak cierpię? – wykrztusił mężczyzna, masując dłońmi obolałe miejsca.

– Dlaczego wszyscy traktują mnie jak szmatę?! – wykrzyczał po odzyskaniu części sił witalnych. Gdy pomyślał o Korneliuszu, chęć popełnienia samobójstwa stopniowo zaczęła odpływać w nieznane.

I wtedy z pulsującego nosa struga krwi wytrysnęła jak lawa w trakcie erupcji wulkanu. Artur jęczał i zawodził, wpatrzony w powiększającą się na chodniku plamę szkarłatu. Bryzgająca czerwień wsiąkała w ziemię przez pęknięcia w starych płytach chodnikowych. Rwały ciąg został przerwany dopiero w momencie, gdy wokół utworzyła się monstrualna kałuża.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego cierpisz? Chodź do mnie. Pokażę ci, kim byłeś w poprzednim życiu. Chwyć moją rękę – zagrzmiał bardzo mroczny głos, rozlegający się dookoła niczym echo.

Gdy mężczyzna taplał się w bajorze agonii, nagle przed jego oczami zmaterializował się wizerunek sześciopalczastej dłoni pokrytej gęstym owłosieniem. Ostre, czerwone pazury wydłużały się jak gałęzie topoli.

– Co tu się dzieje? – wydusił biedak przez łzy, a wtedy z jego nosa wytrysnęła kolejna porcja krwi.

Ramię wyrastające spod ziemi było pokryte obcymi, zawiłymi inskrypcjami. Gąszcz żył pulsował dziwnym światłem pod grubą warstwą chropowatej skóry.

– Podaj mi swą dłoń. Wtedy wszystkiego się dowiesz.

Gdy Artur mimowolnie wykonał polecenie, okoliczna sceneria uległa diametralnej zmianie. Ponure blokowiska zostały wyparte przez krainę leśnych ostępów. Jego wzrok zdołał się przebić przez gęstą warstwę mgły unoszącej się nad mogiłą. Mężczyzna poczuł swąd rozkładających się ciał. Potknął się o odrąbaną przy łokciu, zsiniałą rękę, która powinna leżeć w świeżo wykopanym grobie wraz z innymi członkami pokiereszowanych trupów. Odwrócił głowę, usłyszawszy miarowy, sążnisty stukot żołnierskich butów. Sparaliżowany zastygł w miejscu i zasłonił usta ręką. Armia esesmanów przenikała przez niego jak przez niewidzialną poświatę. Przyglądał się bacznie niewzruszonym twarzom hitlerowców, uzbrojonych po zęby w granaty i karabiny maszynowe. W jednym z nich dostrzegł swojego sobowtóra...

Magda w jednym ze sklepów na ulicy Półwiejskiej kupiła sobie nowy szlafrok w kolorze sepii. *Tak pięknie prezentuje się na manekinie! Będzie doskonale komponował się z odcieniem kanapy w salonie. No i świetnie ukryje moje krągłości*, przyszło jej na myśl, gdy przycisnęła zimny nos do szyby wystawowej.

Zadowolona z zakupów, usiadła na kamiennej ławie przy latarni, by chwilę odpocząć. Naciągnęła na uszy wełnianą czapkę, gdy dał o sobie znać porywisty, kąśliwy wiatr. Tuż za nią uliczny grajek w obdartych łachmanach rzępolił na gitarze utwór Niemena, by wyłudzić od przechodniów kilka groszy. Mimo srogiej, zimowej zawieruchy, nie brakowało chętnych na dalsze wojaże po sklepach. Starsze panie opatulone szalikami aż po nos dzierżyły w roztrzęsionych dłoniach siatki z zakupami. Młodzi mężczyźni w modnych, kaszmirowych płaszczach penetrowali zakamarki sex-shopów w celu zakupu zmysłowej bielizny dla wybranek swego serca. Szczecioczące nastolatki unosiły wysoko nad głowami błyszczące telefony komórkowe, zakupione na abonament przez ich rodziców. Oj tak, na Półwiejskiej zawsze panował ruch, niezależnie od pory dnia i roku. Centrum handlowe Stary Browar wciąż kusilo nowymi promocjami. Nie szkodzi, że większość tych przedmiotów jest zbędna. Ważne, że głupie łby cieszą się przez piętnaście minut, a bańki codziennej melancholii na chwilę pękają.

– A kogo my tu mamy?

Tłuste cielsko Marka Kownackiego dosiadło się raptownie, za nic mając sobie wstępne uprzejmości.

– A ty co tutaj robisz? Nie powinieneś być w pracy? – zaczęła chłodno i beznamiętnie.

– Madzia, nie bądź taka sztywna! Nie widzieliśmy się tyle czasu!

– Dokładnie rok i trzy miesiące. Zadałam pytanie – zaakcentowała i ucięła krótko.

– Wyszedłem na chwilę, mój asystent wszystkim się zajmie. Swoją drogą, Artur w ogóle dzisiaj się nie zjawił.

– A to łajza. Pewnie nadal chleje w jakimś rynsztoku.

– Zapewne już wiesz, że obniżyłem mu pensję.

– A rób z nim, co chcesz – machnęła ręką gwałtownie. – Dla mnie zawsze był zwykłym śmieciem. Nic dziwnego, że sobie z niczym poradzić nie umie. Ważne, żeby przynosił do domu tyle, ile ja potrzebuję. Trochę zaoszczędziłam, więc nie narzekam na skrajną biedę. Później pomyślę, co zrobić z tym szmaciarzem. Po prostu nie chcę, żeby ścigali mnie za jego długi.

– Krzywiński musiał mocno nadepnąć ci na odcisk. Ciekawe, za co go tak bardzo nienawidzisz – powiedział najbardziej subtelnym głosem, jaki umiał z siebie wykrzesać (o ile takie ogry w ogóle znają się na subtelności) i położył dłoń na udzie koleżanki.

– Kurwa, specjalnie wyszłam z domu, żeby zapomnieć o nim chociaż na parę minut. Zabieraj tę łapę, w tej chwili.

Marek nie wysłuchał polecenia, lecz pochylił głowę, by przestudiować zawartość jej torby z zakupami.

– A cóż my tutaj mamy? Ojej, od teraz będę mówił na ciebie Lady Neglige! Chętnie bym cię zobaczył w tym seksownym wdzianku!

– Zaraz doprowadzisz mnie do szewskiej pasji, a wtedy nie ręczę za siebie! – odpowiedziała dobitnie, choć dało się wyczuć w jej głosie nutkę zmysłowości. Być może pobudziły ją brzdęki złotych bransolet na nadgarstku Kownackiego.

Nagle wytrąciła ich z równowagi nieustająca seria przeraźliwych dźwięków. Ludzie wrzeszczeli, biegli naprzód ze wszystkich sił, uderzali o siebie jak bydło przeznaczone na rzeź oraz z hukiem opadali na lodowaty chodnik. Bardziej ambitni chowali się w sklepach i wbiegali z powrotem do centrum handlowego, ale również oni nie mogli czuć się w pełni bezpiecznie. Zwłaszcza gdy wypluty przez działo pocisk zmienił w drobny pył witrynę sklepową na drugim piętrze. Ciężkie kawałki szkła posypały się na ziemię jak spadające gwiazdy. Sprawca całego zamieszania pojawił się w jednej chwili. Potężny niemiecki czołg z czasów drugiej wojny światowej wystrzelił po raz kolejny. Ławki, betonowe donice i manekiny zostały rozerwane na drobne kawałeczki. Metalowe barierki kruszyły się pod ciężarem gąsienic, jakby to były kruche, drewniane patyczki. Później przyszła kolej na ludzi. Żelazna bestia niestrudzenie pruła przed siebie, karmiąc się bólem i cierpieniem poznaniaków.

– Jasna cholera, kto wypuścił na miasto to bydłę?! – zagrzmiął przerażony Marek. Wyobraził sobie, jak wielka armata wpycha mu się do gardła z siłą szatańskiego fallusa.

– Musimy wiać, prędko! – wydukała Magda, krztusząc się wszechobecnym pyłem.

Gdy oboje próbowali wstać, zorientowali się, że ktoś przykuł ich do czarnej latarni wielkim, mosiężnym łańcuchem.

– Ty idioto, to twoja sprawka?! Zachciało ci się zabaw w stylu sado-maso?!

– Przysięgam, to nie moja wina! – kwilił Marek, próbując wyrwać się z więziennego uścisku. – Ktoś wykorzystał naszą nieuwagę i zrobił to specjalnie! Błagam, pomóż mi!

– Kto się wywyższa, będzie poniżony, a kto się poniża, będzie wywyższony. Czas na zamianę ról! Chyba nie wiecie, z kim macie do czynienia! W poprzednim wcieleniu byłem samym...

Przerażona Magda dostrzegła w miejscu wieżyczki dowódcy czołgu sylwetkę własnego męża. Mężczyzna był odziany w oficerski mundur zdobiony złotymi odznaczeniami i swastyką. Z usmolonej węglem gęby tryskała gęsta piana, widomy znak niszczącej wściekłości i nienawiści.

– Jezus Maria! Przecież to Artur! Gdy notorycznie pił, znęcał się nade mną psychicznie i terroryzował dziecko, sama wyzywałam go od hitlerowskiej mendy! Mogłam się tego po nim spodziewać! Teraz ten idiota zaprzedał duszę diabłu, by nas zniszczyć!

Czołg zbliżał się powoli, lecz stanowczo. Kawałki metalu i szkła fruwały w powietrzu niczym urodzinowe konfetti.

– Ciekawe, kim ty byłaś w poprzednim wcieleniu – zastanawiał się Marek.

– Pewnie jakąś hrabiną... – odparła kobieta z nostalgią na pożegnanie.

Dwa demony w przebraniu wątych staruszków stały na środku sąsiedniej ulicy i obserwowały całą sytuację z ogromnym zainteresowaniem.

– Wystarczy wcisnąć frajerom bajki o karmie i reinkarnacji, by zyskać nowych popleczników – skwitował jeden z nich.

Gdy skończyła obciążać i połknęła nasienie, wypchnął ją z samochodu na pobocze jak zużytą szmatę. W kontakcie ze żwirem zdarła sobie kolano.

– Auaaa! Chyba po tym wszystkim należy mi się jakiś szacunek, prawda?

– Przecież ci zapłaciłem, ty głupia kurwo! – wykrzyczał Korneliusz, po czym dla niepoznaki nałożył na twarz maskę sztucznego spokoju. Nagle przypomniały mu się oblicza rodziców, a raczej ich zgon w tajemniczych okolicznościach.

Dwieście euro. Niezła sumka. Dziwka przycisnęła banknot do piersi jak niemowlę. Obserwowała w milczeniu odjeżdżające maserati. Miała nadzieję, że jej wybranek szybko powróci. Dwutygodniowe przerwy wydawały się być średniowieczną torturą. Uwielbiała jego sardoniczny uśmiezek w trakcie rozpinania rozporka markowych spodni. Taka spostrzegawczość i wrażliwość świadczyła o jej zapędach artystycznych.

Wytwór korporacji w starannie skrojonym garniturze. Jego wewnętrzne dziecko drzemało pod młotem pogardy w lodowatej krainie wiecznego zubożenia. Postawa skurwysyna i bezczelnego aktora pozwoliła mu przetrwać na bezdusznej pustyni technologii. Skoro tak, dlaczego wciąż odczuwał strach?

– Co jest, do kurwy?

Wtem z jego nosa wytrysnął potężny gejzer krwi. Lepkie palce z trudem utrzymały w ryzach skórzaną kierownicę. Krople czerwonej posoki, które początkowo zbryzgały przednią szybę i deskę rozdzielczą, nagle przedostały się w miejsce sąsiedniego fotela jak mrówki. Korneliusz instynktownie docisnął pedał hamulca i zjechał na pobocze. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech, by ukoić skołatane nerwy. Jakiś plebs w starej ciężarówce zatrafił zuchwale.

– Już od dłuższego czasu śledzimy z zapartym tchem twoją karierę w korporacji. Jesteśmy zadowoleni z dokonanych postępów. Czy chciałbyś dla nas pracować?

Na fotelu zmaterializował się tajemniczy jegomość w czarnym płaszczu. Jego twarz zasłaniała karykaturalna, teatralna maska. Przerażony Korneliusz próbował opuścić pojazd, jednak

wszystkie drzwi zostały w tajemniczy sposób zablokowane.

- K... Kim ty... jesteś? – wykrztusił mężczyzna przez zaciśnięte gardło.
- Czy chciałbyś dla nas pracować? – powtórzył przybysz.
- Czy... to halucy... nacje? A... co... miałbym... dla... was... robić?
- Przeprowadzisz kontynuację projektu badawczego o nazwie MK-ULTRA. Szczególnie interesuje nas programowanie Delta. Wchodzisz w to?

rys. Roman Panasiuk



MASKA POWIETRZNA

Olga Kaczmarek

Dobre wieści szybko się rozchodzą. Na Nowoczesnej wybudowali kolejny powietrzny sklep. Ludzi bardzo cieszył ten fakt, bo, jak powszechnie wiadomo, lepiej mieć niż nie mieć. Nikogo nie dziwiło, że wszyscy obywatele od pewnego czasu musieli chodzić w specjalnych maskach, które dozowały tlen. Każdemu, bez względu na wiek czy wykonywaną pracę, przysługiwało 1,2 paq tlenu dziennie. Wyżsi zadbali znakomicie o swoich obywateli, wbudowując w maski dozowniki, żeby uchronić bardziej zachłannych przed wcześniejszym wykorzystaniem tego, co im przysługuje. Ludzie przestawali oddychać samodzielnie, teraz mechanizm sam wpompowywał cyklicznie porcję tlenu do płuc. Wszystkim musiało to wystarczyć. Stopniowo zapominali, jak samodzielnie oddychać, jednak większość nie mogła się przyzwyczaić. Odruchowo próbowali wziąć wdech. Na darmo... Wszystkim zszyto płatki nosa, w celu uniknięcia prób samobójczych.

Ludzie wyznawali zasadę „coś za coś”. Wszyscy byli, dzięki obiektywnym mediom, na bieżąco. Wiedzieli, że na obrzeżach miasta wybudowano jakiś czas temu supernowoczesną fabrykę. Było to marzenie całej inteligencji. Wielki moloch, który swym pięknem onieśmiał wszystko, co znajdowało się dookoła. Szary, wysoki budynek z czarnymi kolumnami, z jednym wejściem i sześcioma kominami górował nad całym miastem. Fabryka niepsującego się, łatwo

przyswajalnego jedzenia była spełnieniem podstawowych potrzeb pospólstwa. Tak nowoczesnego rozwiązania oczekiwano jak zbawienia, gdyż jedzenia było coraz mniej. Zdarzały się rodziny, które głodowały, bo zdobycie pożywienia było bardzo ciężkie. Zatruta ziemia nie rodziła już tak jak kiedyś, w rzekach brakowało ryb, a upolowanie jakiegoś zwierzęcia graniczyło z cudem, dlatego też Wyżsi podjęli decyzję o wybudowaniu tej pięknej fabryki. Jedzenia było teraz pod dostatkiem. Wszyscy mogli zajadać się bezwonną, zimną papką, która była bogata we wszystkie niezbędne składniki i witaminy. Widmo głodu odeszło w niepamięć. Papka miała odpowiednią konsystencję, przystosowaną do przyjmowania jej przez specjalną rurkę mocowaną do maski. Pomyśleli o wszystkim.

Cóż... to, że przy produkcji papki spożywczej wydzielał się zielony toksyczny dym, który zatrul powietrze atmosferyczne, przyjęto jako naturalną konsekwencję wybudowania dobroczynnej fabryki... Ludzie musieli więc nosić maski, dzięki którym oddychali i przyjmowali pokarm.

Powiem ci, że to coś nie jest wcale takie złe. Trochę zimne i glutowate, ale w sumie po co nam ciepłe i aromatyczne jedzenie, skoro i tak dozownik podaje nam je bezpośrednio do żołądka? – napisał Adam.

Ja uważam, że wybudowanie tej fabryki wyszło wszystkim na dobre. Spójrz tylko... Ludzie nie muszą teraz tracić czasu na przygotowywanie posiłków, zmywanie naczyń i inne głupoty. Dzięki temu więcej czasu spędzają w pracy, i więcej zarabiają. Gospodarka się rozwija! Ja widzę same plusy. Maski mi nie przeszkadza. Prawda, że wyglądam w niej twarzowo? – napisał Oran, po czym dopisał: *Ha ha ha.*

Adam doskonale pamiętał, jak brzmiał śmiech Orana. Głośny, głupkowaty rechot, który denerwował każdego. Adam zasmucił się przez chwilę. Mimo iż śmiech kumpla z pracy piekielnie go irytował, to świadomość, że już nigdy go nie usłyszy, nie napawała go optymizmem.

Adam, dość już tych pogaduszek. Musimy wracać do pracy. Szef dał nam zlecenie na 5 nowych auto-air'ów, które musimy wykonać do końca tygodnia.

Obaj porozumiewawczo spojrzeli na siebie, po czym schowali pady do kieszeni i w milczeniu wrócili do swoich obowiązków.

Wytwórnia „Auto-air dla każdego” okazała się strzałem w dziesiątkę. Ludzie mieli już wszystko, czego potrzebowali. Samochody stały się nudne, nie były już symbolem dobrobytu, więc część ludzi chciała sobie sprawić mały, niezawodny samolot, który odróżniałby ich od zwykłych szaraków. W „Auto-air” produkowano niewielkie maszyny, które z powodzeniem mieściły się na dachu każdego domu. Zasilane energią atomową, wydajne samoloty stały się symbolem pomysłowości twórców. Technika stała się niezwykle rozwojowa. Kreatywność nie знаła granic, więc posuwano się do wszystkich możliwych sposobów, by najnowsze wynalazki coraz bardziej ułatwiały życie.

Ludzie zarabiali na ogół ogromne pieniądze, nawiązując współpracę z tłustymi inwestorami z zagranicy. Konstruowali coraz to nowocześniejsze sprzęty, jak np. telefony komórkowe zasilane myślą czy nanokompakty. Coraz bardziej popularne było też wtórne wykorzystywanie energii, wszak ludzie i zwierzęta umierali i będą umierać zawsze, a ciało nikomu już się nie przyda. Wspaniała myśl techniczna nigdy nie rozwijała się tak pręźnie jak teraz.

Adam, te samoloty to był prawdziwy strzał w dziesiątkę. Ludzie ich pragną! Są lekkie, małe i niezawodne. Czegóż chcesz więcej? Ustawiliśmy się do końca życia – napisał Oran.

Masz rację, nie jest źle. Zarabiamy rewelacyjnie, dużo lepiej niż pozostali. Szmał proponuję ulokować w mamonnicy, która będzie obracała nim na różne sposoby, zwiększając tym samym jeszcze bardziej stan naszego konta – wtedy będziemy mieli jeszcze więcej – odpisał Adam.

Odłożyli swoje pady, bo właśnie dostali nowe zlecenie...

W następnym tygodniu koledzy sprawdzili swoje konto. Liczba, którą zobaczyli, przyprawiła ich o zawrót głowy. Został pobity nowy rekord.

Adam, widzisz to co ja?

Widzę! Tego się nie spodziewałem. Interes nam kwitnie drogi kolego – odpowiedział radośnie Adam.

Pomyśl tylko, co możemy sobie kupić? Wszystko, co tylko chcemy. Wszystko! Rozumiesz?

Adam zadumał się chwilę... *Wszystko? Chwila... Pomyślmy... Mamy wszystko, czego chcemy. Mi się marzy kawałek sera i oliwki. Tak dawno nie czułem ich smaku. Prawie zapomniałem już, jak smakowicie łączy się ser z oliwkami, jak aromaty mieszają się na różne sposoby, powodując uśmiech zadowolenia na mojej twarzy. Możesz mi to załatwić? Kawałek sera i trochę oliwek?*

Yyy... o tym nie pomyślałem. Ser? Po co ci ser, durniu. Musiałbyś go pokroić... Ułożyć na talerzu, położyć obok oliwki... Oczywiście, gdybyś miał to wszystko. Tyle zmarnowanego czasu! Mógłbyś w tym czasie zrobić nowy auto-air i mieć kasę na nowe ciuchy, dom, może też poznałbyś jakąś kobietę? He he. W końcu majątek masz całkiem pokaźny. Wystarczy i na twoje potrzeby, i na potrzeby twej kochanki – napisał Oran, po czym uśmiechnął się głupkowato i zaczął wciągać glutowatą papkę.

Tego też mam dość! – napisał Adam. Nie możemy porozmawiać tak jak dawniej, słysząc swoje głosy, patrząc sobie w oczy, tylko skrobiemy na tych głupich padach! Nie mogę otworzyć ust, bo każdy tyk powietrza mógłby mnie zabić. Zapomniałem już, jak brzmi twój głos. Ulice również ucichły! Nie słychać rozmów ludzi, śmiechu dzieci. Słychać tylko dźwięk naszych samolotów i innych maszyn, które stworzyliśmy.

Żyjemy w więzieniu, Oranie, które sami sobie stworzyliśmy, z którego nigdy nie uda nam się uciec!

Adam pobladł... Po co mu pieniądze, skoro nie może kupić tego, czego prawdziwie pragnie?

Chciałby tak niewiele... Zdał sobie sprawę, że już jest za późno, by cokolwiek zmienić. Ludzie zaszli za daleko w swojej zachłanności. Chęć ciągłego bogacenia się stała się jak zasłona dymna, która uniemożliwiała dostrzeżenie tego, co naprawdę ważne. Wszystko wokół powymierało. Nie było już drzew, zieleni, woda w rzekach wyglądała jak żółć zmieszana z fekaliami. Całe szczęście, że nie czuł zapachu, bo ten od razu spowodowałby utratę przytomności. Zapomniał już, jak wyglądają zwierzęta. Większość umarła z braku pożywienia i przez wodę nienadającą się do picia. Te bardziej wytrwale były w stanie agonalnym, więc ludzie dobili je w celu pozyskania energii. Bez sensu było je ratować, przecież energia była ważniejsza... Mężczyzna poczuł się bezradny. Chciał krzyknąć, by ludzie się opamiętali, lecz wiedział, że już jest za późno. Zmiany zaszły za daleko.

Adam siedział jeszcze chwilę nad brzegiem rzeki, patrząc tępo w jej mroczny nurt. W tle widział fabrykę, która przez wszystkich ludzi była postrzegana jako zbawienie. Zielony dym ocierał się o jego stopy, przybierając figlarne kształty. Wstał, otrzepał się nerwowo, chwilę jeszcze postął nieco dalej, aż w końcu ruszył w kierunku domu.

Idąc powoli zauważał wszystko to, czego wcześniej nie dostrzegał. Widział ludzi w maskach, którzy rozmawiali między sobą poprzez pady, których on sam również zwykł używać. Dwie kobiety w maskach, których twarze nie można było ujrzeć, plotkujące na padach, śmiejące się szczerze, na co wskazywał komiczny ruch ramionami. Pilnowały się, żeby nie wziąć przypadkiem haustu toksycznego powietrza. *Komedia i dramat jednocześnie... Dwa ufoludki, wydające z siebie dźwięki skrzypiących drzwi, potrząsające ramionami.*

Dotarł w końcu do domu. Usiadł na swojej ekskluzywnej kanapie, co spowodowało, że zaraz pojawiła się elektroniczna pokojówka.

– Czym mogę służyć, proszę pana? – rozległ się robotyczny głos.

Adam żałował, że nie ma przycisku „wynocha, nic nie chcę”, więc zamówił swoją ulubioną muzykę, żeby tylko „kobieta” czym prędzej zniknęła z jego oczu. Muzyka, którą posiadał Adam, została stworzona bardzo dawno temu. Teraz ludziom pozostało tylko odtwarzanie tego, co zostało skomponowane w przeszłości. Nikt nie interesował się już takimi bzdetami. Twórczość wyszła z mody. Zresztą, jak można tworzyć muzykę, nie mając drewna potrzebnego do robienia wielu instrumentów. Bardziej wytrwali próbowali znaleźć jakieś zamienniki, jednak bez większego efektu – uzyskiwany dźwięk był drażniący, wysoki i piskliwy. Zaniechano więc prób tworzenia instrumentów.

Młodzieniec siedział na swojej kanapie, wyciągnął nogi. Zmęczenie i ilość wrażeń spowodowała, że usnął niczym dziecko. Śniło mu się, że pływa w śmierdzącej wodzie. Nie ma na

sobie maski, więc czuje wszystkie zapachy. Odór nie pozwala oddychać, a fekalia z rzeki dostają się do nozdrzy. Całe szczęście spał krótko. Obudził się cały zlany potem. W tym samym czasie poczuł, jak porcja powietrza została wstrzyknięta do płuc. Ciśnienie powoli się stabilizowało. Leżał teraz spokojnie w swoim łóżku, rozmyślając nad wszystkim, czego doświadczył za dnia.

Zdenerwowany Oran biegał nerwowo po całej fabryce. *Co za gnojek! Jak można tak po prostu nie przyjść do pracy. Nawet nie napisał! Niech ja go tylko spotkam.*

Oran nie mógł nawet wygospodarować chwili na zadzwonienie do kolegi. Zleceń było tak dużo, że ledwie nadążał ze wszystkim. Cały spocony i czerwony montował kolejne elementy. Wiedział, że musi zdążyć na czas.

Mężczyzna zapomniał nawet o swoich podstawowych potrzebach fizjologicznych. Papka czekała na niego na stole nieopodal, ale nie mógł choć na chwilę przestać pracować. Wtedy byłaby katastrofa. Źle zmontowane auto-airy byłyby ogromnym niebezpieczeństwem, a jakiegokolwiek opóźnienie spowodowałoby niezadowolenie klientów, co odbiłoby się na jego opinii i przychodach. Oran nie mógł sobie na to pozwolić, dlatego pracował za dwóch.

Po paru godzinach pad zaczął pikać i świecić na czerwono. Oran wiedział, że sygnalizowało to koniec pracy. Wstrzymał więc produkcję, szczęśliwy, że dał radę. Opadł na podłogę. Jego organizm nie przywykł do takiego wysiłku; było mu tym bardziej ciężko, bo musiał odpowiednio gospodarować tlenem. 1,2 paq tlenu było teraz niewystarczające. Leżał przez chwilę, by organizm doszedł do siebie.

Gdy wróciły mu siły, postanowił porozmawiać z kolegą. Próbował przeemitować swoje myśli do kumpla, lecz transfer wracał z powrotem bez odpowiedzi. Oran zaniepokoił się. Podeszedł do okna. Nie było tam już nic ciekawego do oglądania, ale w oddali zobaczył zarys postaci opartej o spalony konar. Wyglądała jak Adam, aczkolwiek nie miał pewności. Postanowił sprawdzić to miejsce. Co miał zrobić, nie miał nic do stracenia. Chciał, by kolega wytłumaczył się ze swojego zachowania.

Już ja ci pokażę. Czekaj tylko!

Oran musiał wydostać się z budynku. Nie chciał jednak iść schodami, wiadomo: tlen. Poczekał więc na windę.

No, nareszcie! – pomyślał w duchu.

Winda jechała całkiem szybko, więc już po chwili Oran znalazł się na zewnątrz. Zapamiętał kierunek, w którym powinien się udać, by spotkać swojego kumpla, który zapomniał najprawdopodobniej, co jest w życiu najważniejsze.

Oran był coraz bliżej, teraz był już pewien, że to Adam. Nie mógł krzyknąć do kolegi, a użycie pada miałyby się z celem. Zbliżał się coraz bardziej.

Adam wyglądał inaczej niż zwykle. Jego ciało sprawiało wrażenie bezwładnego, głowa odchylona była do tyłu. Oran nie widział wszystkiego dokładnie, bo wciąż był za daleko.

Gdy zbliżył się już na odpowiednią odległość, ujrzał twarz Adama. Nie żył... Siedział całkiem spokojnie nad brzegiem gnijącej rzeki. Maską, dzięki której oddychał, leżała metr od niego, wyrwana z nozdrzy. Szwy, jeszcze niedawno łączące płatki nosa, były rozprute. Zastygł tak, jakby zaciągał się powietrzem. Obok leżał pad ze stłuczoną szybką. Oran rozejrzał się na boki. Z prawej strony widniał napis wyryty w ziemi. „Kiedy wycięte zostanie ostatnie drzewo, ostatnia rzeka zostanie zatruta, zginie ostatnia ryba, odkryjemy, że nie można jeść pieniędzy”.

Miasto huczało od plotek, głównym tematem stała się teraz samobójcza śmierć młodego mężczyzny.

Oran szedł do pracy. Widział, że kobiety przed nim gorączkowo o czymś piszą między sobą. Zbliżył się nieco i zajrzał jednej z nich przez ramię. *Mógł mieć wszystko czego tylko chciał* – przeczytał.



SZORTAL

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty ◦ drabble ◦ recenzje
newsy ◦ konkursy ◦ forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**



POTWÓR Z SZAFY

Inga Gumieniak

Wojtuś siedział przy swoim stoliku z Ikei i zjadał kolację. Mamusia tym razem przygotowała kanapki z pomidorem i cebulką. Uwielbiał je.

Był mizernym i dość anemicznym chłopcem. Miał przezroczystą skórę, tak przynajmniej mówili o nim koledzy ze szkoły. Był niski jak na swój wiek i nosił okulary jak denka od słoików. Miał siedem lat i mieszkał tylko z matką. Taty nigdy nie widział na oczy. Mama nieraz opowiadała mu o tym dziwnym i tajemniczym mężczyźnie, który ponoć był jego ojcem. Ostrzegła go... Zawsze pod koniec jej opowieści powtarzała te same nakazy: i pamiętaj, żeby nie rozmawiać z obcymi, pamiętaj, żeby nie brać od nieznajomych żadnych cukierków, pamiętaj, żeby nie wsiadać do samochodów ludzi, których nie znasz...

Wiedział, że ma rację. Panicznie bał się ludzi, którzy w jego życiu nie odegrali żadnej znaczącej roli. Ta pani z pobliskiego ciucholandu, u której mamusia zaopatrywała go w koszulki na lato, też była obca. Nie znał jej, a mimo to uśmiechała się do niego serdecznie. Dlaczego to robiła? Po co okazywać życzliwość komuś, kto jest ci zupełnie obojętny? Jego obojętność jej najwyraźniej nie wystarczała. Nie potrafił tego zrozumieć, ale panicznie bał się pani ze sklepu. Dlaczego?

Dlatego, że była dla niego miła i dawała mu cukierki. No tak, „nie bierz cukierków od nieznajomych”.

Tym razem jadł kolację w wielkim skupieniu, jednak co i rusz zerkał na starą szafę, którą matka z nie wiadomo jakich przyczyn ustawiła w kącie jego pokoju. Na oko Wojtka szafa miała ze trzysta lat, albo i więcej. Zamykana była na zamek i tylko sam Pan Bóg był świadom tego, gdzie znajduje się tajemniczy klucz, otwierający jej toporne drzwi.

Szafa była wielka, a nawet ogromna. Sięgała niemalże pod sam sufit. Co najgorsze, zmieniała się. Za dnia przypominała tylko i wyłącznie stary, wysłużony mebel, natomiast w nocy była bóstwem, które akurat tutaj, czyli w jego pokoju, odnalazło swój azyl. Tutaj trzeba było ją wielbić i składać dary w ofierze. Trzeba było się jej bać...

Wojtek kończył już ostatnią kanapkę, kiedy z wnętrza szafy dał się słyszeć znajomy chrobot. Mama mówiła, że mieszka tam szczur. Wojtek nie bał się szczura. Szczur byłby dla niego towarzyszem zabaw. Gdyby okazał się gigantycznych rozmiarów, to może obroniłby go przed tajemniczą zjawą, zamieszkującą wewnątrz wielkiej szafy. Chrobot? O nie, chłopiec mimo tego, że miał siedem lat, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to nie był zwykły chrobot. To były ludzkie paznokcie, które usilnie próbowały wydrapać otwór między warstwami topornych drzwi, aby w ten sposób wydostać się na zewnątrz. Do jego pokoju. Czasami słyszał też jęki i pomrukiwania. Raz na tydzień potwór płakał lub zanosił się histerycznym śmiechem. Wojtek byłby w stanie poświęcić nawet swoją kolację, byleby nie słyszeć tych upiornych dźwięków.

Mama zabrała go dziś do parku. Zbliżała się jesień i liście powoli zaczęły przybierać przepiękne, żółte i brązowe odcienie. Uwielbiał chwile spędzone z matką, a w jej towarzystwie czuł się swobodnie i beztrudnie. Co innego w szkole... Koledzy wyzywali go od chuderlaków i okularników, a Krzysiek powiedział kiedyś do niego „przezroczysta gębo”. Mama nigdy nie pozwoliłaby sobie na takie wykroczenia. Był dla niej całym światem. Miała tylko jego. Nie czuł wcale do niej dziwnej i niepohamowanej zazdrości, która jest elementem charakterystycznym rozwoju małego dziecka, pomimo tego, że ani trochę nie był do niej podobny, wręcz odwrotnie, bo był jej całkowitym przeciwieństwem. Ona: piękna, średniego wzrostu, szczupła, o nienagannej figurze, przepięknych, wielkich, brązowych oczach i burzy kręconych, czarnych loków oraz śniadej karnacji. On zaś: niski jak na swój wiek, chudy, o jasnym, wręcz anemicznym kolorze twarzy, z wielkimi okularami w niebieskich oprawkach na nosie i aparatem na zębach.

Matka często mówiła mu: „skóra zdjęta z ojca”. Nie podobało mu się to sformułowanie. Nie chciał, aby ktokolwiek porównywał go do osoby, której ani nie znał, ani nie pragnął poznać. To po

pierwsze. Po drugie, jego ojciec prawdopodobnie wyrządził na tym świecie wiele krzywdy, bo z jakich to niby powodów jego matka do znudzenia ostrzegała go przed nieznajomymi?

Tymczasem postarał się odgonić od siebie dręczące myśli. Razem z mamą robili bukiety z kolorowych liści, liczyli wiewiórki hasające między drzewami i karmili tłuste kaczki.

– One chyba mają dość – stwierdziła mama z uśmiechem. – Zobacz, są takie grube, że zaraz utoną!

– Mamo, przestań! – powiedział uradowany Wojtek. – Daj im jeszcze!

Matka bez sprzeciwu spełniła jego prośbę. Może kaczki były tłuste, ale przyjemnie było je razem karmić. Z kolegami z klasy nigdy w życiu nie odważyłby się na taką wyprawę. Zapewne rzucaliby w niego błotem i kamieniami, wyzywając przy tym od najgorszych.

Mama nadal karmiła kaczki, a przechodzący pobliską ścieżką mężczyźni zerkali w jej stronę. Wojtek zdawał sobie sprawę z urody swojej rodzicielki i mimo tego, że miał tylko siedem lat, doskonale wiedział, skąd się biorą dzieci. Mama jednak na nikogo nie zwracała uwagi. Nie interesowała się facetami, ba, nawet nie wdawała się w żadne przelotne związki. Liczył się tylko on, jej mały mężczyzna, którego wychowywała od kołyski. Był dumny z tego, że matka nie odwzajemnia męskich spojrzeń. Obejrzał się na przechodzącego ścieżką wysokiego faceta i pokazał mu język.

– Przestań, tak nieładnie.

– On się na ciebie gapił.

– Nie mówi się gapił, tylko patrzył.

– Przepraszam.

– W porządku.

Matka nadal karmiła otyłe ptaszyska, a Wojtek skupił swoją uwagę na żabim oczku, w którym pływały. Woda nie była tutaj taka brudna, gdzieś tam dało się nawet zobaczyć, jakie skarby skrywa dno jeziora. Oprócz starego buta i kilku większych kamieni Wojtek dojrzał w szuwarach jakiś podłużny i cienki przedmiot. Od razu sięgnął ręką do wody.

– Uważaj! Utopisz się!

– Mamo, tu jest płytko – powiedział chłopiec i wyciągnął z wody zardzewiały klucz.

– To klucz – stwierdziła mama. – Może jest magiczny?

– Mamo, ja jestem już za duży, żeby wierzyć w takie bajki – zaśmiał się Wojtek, ale mimo wszystko spodobała mu się perspektywa tego, że klucz może być zaczarowany. – Czy mogę go zabrać do domu?

– Pewnie do nikogo już nie należy – odparła mama z rozbawieniem. – Oczywiście, że możesz.

Gdy wrócili do domu, mama zabrała się do przygotowywania kolacji. Wojtek od razu poczuł znajomy skurcz w żołądku. Dopadał go stres. Matka jak zwykle poda mu przekąskę w jego pokoju, a gdy tylko on zacznie ją pałaszować, z szafy z pewnością dobiegną znajome pomruki...

– Mamo... – powiedział, wcale się nie zastanawiając. – Kim był tak naprawdę mój ojciec? Czy on był złym człowiekiem?

Spodziewał się tego, że matka jak zwykle zmieni temat i zacznie przestrzegać go przed nieznanymi panami, którzy wabią bezbronne dzieci na cukierki. Jakie było jego zaskoczenie, gdy powiedziała:

– Jesteś już dużym chłopcem i chyba powinnam ci w końcu wyjawić całą prawdę. Twój ojciec był mordercą. Pozbawił życia trzech małych chłopców. Byli mniej więcej w twoim wieku...

– Mamo, to straszne!

– Czy mam przestać mówić? Masz dość? Jeżeli tak, to zrozumiem...

– Nie, mamo. Mów dalej – powiedział Wojtek mimo napływających do oczu łez.

– Wszystko zaczęło się, gdy byłam w siódmym miesiącu ciąży. Wcześniej twój ojciec był normalnym człowiekiem. Był czuły, opiekuńczy, a nawet cieszył się na wieść o tym, że będzie miał syna. Jednakże po pewnym czasie zaczął się dziwnie zachowywać. Znikał na całe noce. Wychodził z domu wieczorem i wracał dopiero rano. Nie chciał wyjaśnić, co robi ani z kim się w tym czasie widuje.

– I co było dalej, mamo?

– Byłam roztrzęsiona. Instynktownie czułam, że zbliża się kres mojego małżeństwa. A potem... potem w telewizji zaczęły się pojawiać groźne komunikaty. Pierwszym z zaginionych chłopców był sześciolatek, który zniknął z placu zabaw. Jego matka poszła dosłownie na minutę do domu, żeby skorzystać z ubikacji, a gdy wróciła, już go nie było.

– Ale skąd wiadomo, że zabił go mój ojciec?

– Przypadkowi ludzie robili swoim dzieciom zdjęcia w trakcie zabawy. Na jednym z nich uwieczniono twojego ojca, który trzyma za rękę tego chłopca i prowadzi go w stronę lasu. Jeszcze tego samego dnia znaleziono jego ciało w leśnym listowiu. Miał obdartą skórę z twarzy.

– Mamusiu! – krzyknął Wojtek i rzucił się w objęcia matki, mimo tego nie płakał, bowiem jego dziecięca ciekawość poznania historii do końca okazała się silniejsza.

– Wszyscy oczywiście szukali tajemniczego mężczyzny ze zdjęcia. Trwało to około miesiąca. W tym czasie doszło jeszcze do dwóch podobnych zabójstw, a gdy okazało się, że twój tata może być zamieszany w tę sprawę, on po prostu zniknął. Nie widziałam go od siedmiu lat.

Tym razem chłopiec nie wytrzymał napięcia i zalał się rzewnymi łzami. Tego już było za wiele. Mógł funkcjonować w miarę normalnie wiedząc, że w jego szafie czai się dziwna i tajemnicza istota, ale ojciec morderca, który zabija małych chłopców i obdziera ich dziecięce twarzyczki ze skóry, to była już przesada!

– Idź do pokoju i zjedz kawałek ciasta – powiedziała matka. – Zrobiłam twoje ulubione, mam nadzieję, że nie popsują ci się zęby, jak zjesz je na kolację.

Wojtek mimo odczuwanej goryczy zdołał się w tym momencie leciutko uśmiechnąć. Uwielbiał szarlotkę, a tym razem mama wyjątkowo podała mu ją z lodami śmietankowymi. Być może chciała, aby w ten sposób choć trochę się rozweselił.

Jak zwykle poszedł jeść sam w swoim pokoju. Nie wiedział dlaczego, ale matka zawsze nalegała na to, aby kolację jadł w samotności. Usiadł więc na swoim stoliku i zabrał się do spożywania posiłku. Już po pierwszych trzech kęsach dały się słyszeć znajome dźwięki. Najpierw było to skrobanie, a potem szybkie kroki. Wojtek ze zgrozą stwierdził także, że ktoś kichnął.

Chłopiec zalał się zimnym potem. Jeszcze nigdy potwór z szafy nie dawał o sobie znać tak intensywnie. Jego wzrok powędrował do zamka starodawnego mebla. No tak! Klucz!

Szybkim ruchem sięgnął do kieszeni spodni, w której ukrył swoje dzisiejsze znalezisko, następnie chwiejnym krokiem podszedł do szafy i wsadził klucz do zamka. Pasował!

Przekręcił dłonią i usłyszał szcęk. Wrota szafy uchyliły się, a małe, przestraszone dziecko zajrzało do środka. Spodziewał się, że we wnęce wiekowego mebla znajdzie jakieś stare pudła lub dziwaczne ubrania na wieszakach, być może nawet samego potwora. Tak się jednak nie stało. Wnętrze schowka okazało się opadającym w dół korytarzem, usianym mnóstwem stromych, betonowych schodów. Wojtek przyjrzał im się uważniej. Wydawało się jakby były pozostałością opuszczonej fabryki. Czuć było tu stęchliznę oraz coś jeszcze. Być może martwego szczura.

Nie wiedział, w jaki sposób, ale jakimś cudem zdołał pokonać paniczny strach, który do granic możliwości ścisnął mu żołądek. Zaczął powoli schodzić w dół. Najtrudniej było pokonać pierwszy stopień, ale potem szło się już o wiele łatwiej.

Jego oczy powoli zaczęły przyzwyczajać się do ciemności. Marsz trwał być może trzy minuty, ale dla niego była to cała wieczność. W pewnym momencie schody się skończyły. Wojtek spojrzał prosto przed siebie i serce niemal podskoczyło mu do gardła. Na końcu korytarza stała jakaś postać. Nie widział wyraźnie jej twarzy, ponieważ pogrążona była w ciemnościach, ale strumień światła z jego pokoju zdołał oświetlić to, co trzymała w ręku. Teraz już wiedział, co tak strasznie śmierdziało. Człowiek ten trzymał w ręku szczura z odgryzioną głową. Z zakrwawionego

kadłuba zwierzęcia sterczały kości kręgosłupa. Postać mlaskała i bekała, połykając kolejne kawałki mięsa gryzonia. Co jakiś czas wgryzała się w truchło i zębami odrywała okazałe kawały padliny. Chłopiec od razu zwrócił zjedzoną wcześniej kolację.

Wojtek mimo torsji, które nim owładnęły, nie spuścił z oczu strasznej, tajemniczej sylwetki. Podświadomie wiedział, że chwila nieuwagi może kosztować go życie. Człowiek zajadający się szczurem stał około siedmiu metrów od niego. To pewnie mój ojciec, pomyślał chłopiec. Tak, zapewne był tu cały czas, ukrywając się przed policją. Żył w mojej szafie przez siedem długich lat, a gdy otworzyłem mu drzwi, zabije najpierw mnie, potem mamę, a na końcu obedrze nasze twarze ze skóry.

– Pokaż twarz! – usłyszał z oddali swój własny głos i sam do końca nie mógł uwierzyć w to, że zdołał cokolwiek powiedzieć.

Jak na zawołanie potwór zbliżył się ku jasnej poświacie, padającej z jego pokoju. Widok był przerażający. Gdy tylko chłopiec spojrział dziwnej postaci w jej przepiękną twarz, poczuł, że unosi się ku gwiazdom. Te czarne, kręcone włosy, brązowe oczy...

– Mama! – zdołał tylko wydusić z siebie.

– Zawsze lubiłam jeść kolację z moim synkiem – powiedziała matka, ale on już tego nie pamiętał, ponieważ pogрузił się w nicości.

Pan Henryk jak zwykle rankiem, o tej samej godzinie, wyprowadzał swojego psa do pobliskiego parku, mimo tego, iż panował surowy zakaz wprowadzania tutaj zwierząt. Jednakże o tak wczesnej porze zazwyczaj nikt nie miał do niego o to pretensji. Przecież żaden rodzic nie przyprowadza tutaj swoich dzieci o piątej nad ranem.

Gdy Szatan załatwił już swoje najważniejsze potrzeby, Pan Henryk zawrócił psa w stronę zawsze otwartej bramy parku. Po drodze mijali żabie oczko. Pies nagle zaczął donośnie szczekać. Zaintrygowany mężczyzna odwrócił się w kierunku wody. Na brzegu jeziora siedział dziwnie skulony chłopiec. Jedną ręką grzebał w zamulonej wodzie. To był nietypowy widok jak na tę godzinę. Co taki mały szkrab, na oko sześciolatek, robi tutaj sam po piątej nad ranem?

– Ej, mały! – zawołał, lecz chłopiec nie zareagował.

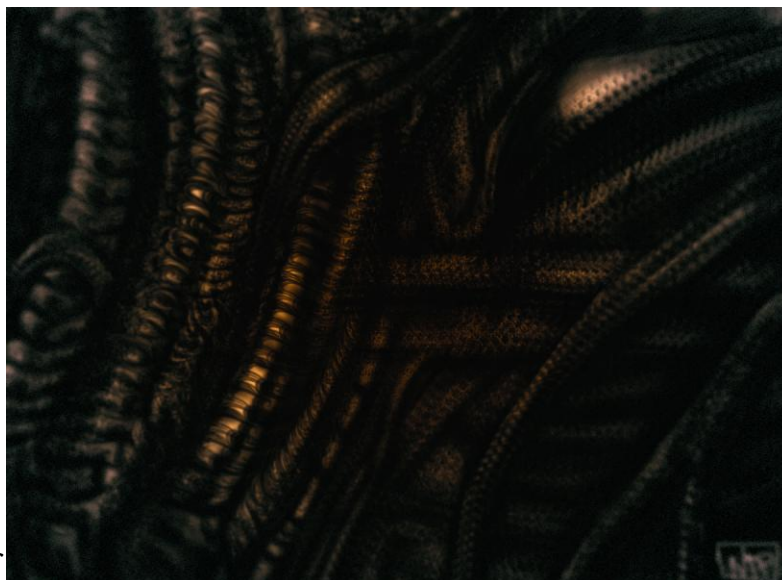
Zaniepokojony mężczyzna podszedł do niego, nadal trzymając psa na smyczy. Zwierzę zaczęło przeraźliwie ujadać, mimo tego chłopak nawet nie drgnął. Nadal trzymał prawą rękę pod wodą i widać było, że ścisnął w niej jakiś podłużny kształt. To chyba był klucz.

– Zamknij się, Szatan! – powiedział Henryk, po czym zwrócił się do chłopca. – Co tu robisz mały?

Szczupły, ciemnowłosy dzieciak odwrócił do niego swoją umorusaną w sadzy twarz. Na nosie miał wielkie okulary w niebieskich oprawkach.

– Tata? – zapytał mały, a po jego brudnym policzku popłynęła wielka, czarna łza.

rys. Roman Panasiuk



SĄSIAD

Norbert Góra

*Jak bardzo nieprzewidywalne potrafi być życie,
jak krótki dystans dzieli najczarniejszą rozpacz
i pesymizm od radości, od której wprost kręci się
w głowie.*

Ellinor Rafaelsen

Benjamin Ackos odłożył na mahoniową, ręcznie wykonaną szafkę nocną powieść o spokojnym prawniku i jego szalonym sąsiedzie o morderczych skłonnościach, który stale próbował zakończyć stabilną linię życia głównego bohatera.

Na szafce stał też twór najbardziej szalonych designerów – lampa z wnętrzem wypełnionym różową, fluorescencyjną cieczą, rozświetlającą niewielką sypialnię zastępcy komendanta lokalnej policji.

Ackos rozejrzał się po pokoju i westchnął, szukając chociażby najdrobniejszego pozytywnego elementu w wystroju wnętrza tego pomieszczenia. Fluorescencyjne światełko z lampy oświetlało jedynie najbliższą okolicę stalowego łóżka, zaścielonego grubą, zielonkawą kołdrą ozdobioną

japońskimi napisami o nieokreślonym znaczeniu. Ben mógłby długi czas zastanawiać się, co właściwie oznaczają inskrypcje na jego pościeli, ale szkoda mu było życia na tak prozaiczne przemyślenia. Zastanawiał się, co też jutro będą porabiać jego współpracownicy, jakie sprawy przyniesie im los. Czy komendant w końcu wykituje i pozwoli zająć swoje miejsce? Czy coś go życiu zaskoczy? Na to ostatnie pytanie nie mógł długo znaleźć odpowiedzi. Od niepamiętnych czasów życie zawodowe tego surowego gliniarza z zasadami spowite było okowami rutyny i najpospolitszej nudy.

Niejednokrotnie oglądając „CSI: Kryminalne zagadki Miami” zastanawiał się, jak to się dzieje, że główni bohaterowie w ciągu nierzadko dwóch – góra trzech – dób są w stanie rozwikłać zagadki tak zadziwiające, że rozwiązanie co najmniej połowy z nich zajęłoby zwykłemu policjantowi przynajmniej miesiąc.

Teraz, jako czytelnik powieści o szalonym sąsiedzie najnormalniejszego, kalifornijskiego prawnika, czuł się pusty i rozbity. Brakowało mu Helen. Zmysłowej, ciemnowłosej Helen o piwnych, przenikliwych oczach i uśmiechu, który kruszył skały. Przeżyli ze sobą dwadzieścia lat. Niestety, z powodu jej bezpłodności nie mogli mieć dzieci, nie zdecydowali się też na adopcję. Dwadzieścia lat pełnych miodu, z cholernie przesolonym orzeszkiem w środku – Helen odeszła niespodziewanie. Diagnoza usłyszana przez nich zaledwie rok temu brzmiała jak wyrok śmierci: rak krtani. Pod koniec swojego życia Helen nie była w stanie komunikować się werbalnie. Pisała mu wspaniałe wiadomości za pomocą komputera, telefonu albo po prostu na kartce papieru. Odeszła, pozostawiając gorycz i niedowierzanie. Była duszą towarzystwa i wierną żoną. Mistrzynią włoskiej kuchni i idealnie doprawionego ostrymi przyprawami spaghetti. Ben całkowicie zatracił się we wspomnieniach, leżąc w ciepłym łóżku i oczekując jakiegoś cudu, który zmieni jego życie. Niestety – mamy je tylko jedno i należy je wykorzystać całkowicie.

Pamiętaj, Kotek – w życiu chodzi o to, aby nie przypalić swojego prywatnego spaghetti. Makaron musi być al dente, bo inaczej nitka makaronu po prostu pęknie i sprowadzi nas na samo dno, gdzie umrzemy – zwykła mawiać Helen.

Policjant odczuł przymus wyjścia z łóżka i udania się do łazienki. Potrzeba zderzenia się z kojącym strumieniem lodowatej wody była nie do odparcia. Niewiele myśląc, wyskoczył na dębowy parkiet i szybkim krokiem ruszył pod prysznic.

Niedużych rozmiarów pomieszczenie komu innemu mogłoby przypominać karczer. Malutka, plastikowa kabina prysznicowa koloru białego, białe kafelki z czarno-żółtymi elementami na podłodze i ścianach oraz niewielkie lustro nad zlewem wmurowanym w ścianę. Poczul po raz kolejny silną pokusę przejrzania się w nim. Szare, smutne i podkrążone oczy, wysokie czoło i siwiejące włosy, których z roku na rok ubywało. Charakterystyczny hiszpański wąsik koloru węgla. Kwadratowa, płaska twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi i wąskimi ustami oraz

dobrze wyeksponowaną zuchwą. Benjamin Ackos – tylko on mógł tak wyglądać. Zamykając oczy, złożył dłonie w kształt miski, aby móc napełnić je lodowato zimną wodą, a potem przeciągnąć po twarzy.

Zrobił to raz, drugi, trzeci. Poczul jak pokusa, która wywierała na nim coraz większą presję, wreszcie słabnie, i że może z powrotem udać się do łóżka.

Kolejna samotna noc. Na zewnątrz pogoda dopisywała. Bezchmurne, pokryte szatą pełną gwiazd niebo radośnie otaczało opieką małe, bezbronne istotki na jego dole. Ciepły, lipcowy wietrzyk prześlizgiwał się między jednorodzinnymi bungalowami. Ben zmrużył oczy i odpłynął w krainę snów.

W swojej wyobraźni widział Helen – tym razem jednak zmartwioną i zaniepokojoną jakimiś nadchodzącymi wydarzeniami. Stał na progu drzwi wejściowych do domu, a ona niedaleko od niego. Nie wypowiedziała ani słowa, ale dawała niewerbalne znaki. Znaki, że zbliża się coś złego. Poczul, jak kręci mu się w głowie. Do domostwa Ackosów coś się zbliżało. Nie mógł być to człowiek, ale jakiś diabeł w ludzkiej skórze, który zionął chęcią niszczenia wszystkiego, co mu stanie na drodze. Niebo pociemniało, od wschodu pojawiły się czarne, burzowe chmury. Nagła anomalia pogodowa przeraziła Benjamina i Helen. Usłyszeli dziki, nieokiełznany skowyt wilka. W końcu to coś ukazało się oczom Ackosów. Płonące żywym ogniem oczy i kły, których niejeden kojot mógłby tej istocie pozazdrościć. Benjamin chciał wybiec z domu, przekonany, że człekokształtna bestia rzuci się na niego i rozpruje niczym starą poduszkę, a z wnętrzości zrobi sobie pięciogwiazdkową kolację. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał niepodważalny fakt. Jego nogi były jak z waty i nie miał absolutnie żadnych szans na ucieczkę przed diabelnie przerażającą istotą o płonących oczach.

Człekokształtny stwór zawył po raz kolejny i rozdziawił pysk w tak koszmarny sposób, że Helen przestała maskować strach. Jej krzyk – przybierający coraz bardziej na sile – obudził Bena ze snu. Nierealny głos zmarłej żony Ackosa mieszał się z głośną pracą silnika ciężarówki dostawczej, jadającej po wykładanej szaro-czerwonej kostce brukowej ścieżce w kierunku sąsiedniego domostwa. Zaintrygowany całym wydarzeniem, Benjamin podszedł do okna, obserwując manewry kierowcy. Ten zaś kręcił kierownicą jak oszalały – prawo, lewo, prawo, lewo. Ben nieomalże dostał oczopląsu, zanim kierowca podjechał dostatecznie blisko domu sąsiada.

Co u licha? Nowi lokatorzy? – zapytał sam siebie ze zdziwieniem, drapiąc się po łysiejacej głowie. Wielkich rozmiarów tablica „SPRZEDANE” stała wbita obok domu naprzeciwko posesji Ackosa. Dawne miejsce wieloletniego pobytu jednego z lepszych sąsiadów Bena – Franka Campbella – musiało zmienić właściciela.

Frank, czarnoskóry homoseksualista o skrajnie liberalnych poglądach, odnoszący pewne sukcesy w garażowym bandzie Arktyczna Burza i pracujący jako doradca klienta w pobliskim

sklepie elektronicznym był interesującym sąsiadem. Policjant jednak wielokrotnie zauważał, że czuje się przy nim jak zwykły gamoń. Campbell zwiedził całą Europę Zachodnią, mieszkał również w Australii i Japonii, a do Stanów Zjednoczonych przywiała go chęć sięgnięcia po tytuł Gwiazdy Rocka. Niestety, mimo szczerych chęci i nawet sporej dawki talentu, wzbudzał jedynie kontrowersję wśród lokalnej społeczności. Ostatecznie stwierdził, że musi wyprowadzić się do Kalifornii. Do miejsca, w którym znajdzie ciszę oraz odpowiednie warunki do rozwoju artystycznego.

Obserwując pracowników firmy przewozowej przenoszących meble, Ackos natknął się spojrzeniem na nowego właściciela, który stał u progu wejścia do domu. Wysoki mężczyzna o miedzianych, krótkich włosach był dobrze zbudowany. Z daleka sprawiał groźne wrażenie. Ubrany był w czerwono-żółte polo i wytarte, niebieskie dżinsy. Na oko mógł mieć trzydziestkę, ale Ben nie oceniał ludzi „na oko”. Chcąc się lepiej zaznajomić z nowym lokatorem sąsiedniego domu, ubrał się w hawajską koszulę, beżowe, lniane spodnie i sandały, po czym pospiesznie zszedł na dół i opuścił dom. W miarę jak przybliżał się do nowego sąsiada, czuł niezwykle negatywną aurę bijącą od otoczenia.

To dziwne, pomyślał i skrzywił się, stojąc zaledwie trzy kroki od mężczyzny odwróconego do niego plecami. Przystanął na chwilę, kaszlnął głośniej, aby zwrócić na siebie uwagę sąsiada i wyciągnął rękę na powitanie.

– Benjamin Ackos, miło mi pana poznać, panie... – zawahał się, w nadziei, że mężczyzna przedstawi się. Nie przeliczył się. Sąsiad również wyciągnął rękę i uściśnął ją lekko.

– Venim. Shay Venim – odpowiedział śmiałym i melodyjnym głosem. W jego zielonych oczach płynął potok tajemniczości. Ben nagle przypomniał sobie fragment czytanej wczoraj wieczorem prozy.

Shay Venim machnął naostrzonym tasakiem nad głową prawnika, ale chybił, przecinając powietrze. Rozwścieczony, wydał nieokreślony pisk, chcąc dokończyć dzieła...

Widząc chwilowe zakłopotanie Benjamina, Shay przyjrzał mu się dłużej i zapytał:

– Nic panu nie jest?

Ackos, jakby wyrwany ze snu, otrząsnął się i pokręcił głową.

– Nie... ja tylko... to znaczy... ma pan bardzo oryginalne imię i nazwisko – wybąkał nieśmiało, na co sąsiad zareagował szczerym, sympatycznym uśmiechem.

– Moi rodzice mieli bzika na punkcie horrorów i thrillerów. Ojciec próbował pisać powieści, ale nikt nigdy nie chciał go wydać. Uważali, że ma chorą wyobraźnię i powinien się leczyć.

– A kim była pana matka? – zapytał Ben, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej o swoim nowym sąsiedzie.

– Tłumaczyła powieści i dokumenty urzędowe z angielskiego na norweski i szwedzki. Zanim poznała ojca, pracowała w Szwecji, w firmie sprzątającej. Jest bardzo porządną kobietą – odparł Shay.

– To ciekawe. Pan posiada jakiś talent literacki? – Rozmowa o przeszłości Venima stała się dla Bena uzależniająca jak narkotyk. Każde słowo sąsiada wciągał jak odkurzacze.

– Nie, niestety nie. Jestem rysownikiem i grafikiem – odparł krótko Shay.

– Czy mógłbym zobaczyć jakieś pana dzieła? – zapytał policjant bez wahania, będąc pod wielkim wpływem sąsiada.

– Z miłą chęcią, ale później. Mam jeszcze trochę spraw do załatwienia i muszę uporządkować dom, wie pan. Przeprowadzki wymagają czasu – stwierdził spontanicznie Venim, po czym skierował się do drzwi wejściowych i przystanął przy nich.

Benjamin odwrócił się i ruszył w stronę swojego domu. Przeszedłszy kilka kroków, poczuł na sobie jakieś spojrzenie. Nieśmiało przeniósł wzrok na sąsiada.

Oczy. Jego oczy.

To nie było spojrzenie człowieka. Oczy Shaya były jak małe ogniki, palące żądzą krzywdy i dzikiego szaleństwa. Ben przysięgłby, że jego oczy przypominały ślepią tego diabelskiego, człekokształtnego pomiotu ze snu.

Stał tak wpatrzony w Venima do czasu, kiedy ten zamknął z hukiem drzwi. To było straszne. Parę minut zwykłej, sąsiedzkiej rozmowy i najnormalniejszy w świecie rysownik zdał mu się jakby opętany. Co w niego wstąpiło?

Cholera, może to było tylko przywidzenie? – pomyślał zdezorientowany i wolnym krokiem udał się do domu. Wszystko w nim było na swoim miejscu. Benjamin Ackos nie odszedł od zmysłów. Nie widział latających kartek, duchów ani niczego podobnego. Wzrok sąsiada jednak naprawdę zmroził mu krew w żyłach... Dlaczego?

Co w tym grafiku było aż tak niesamowitego, że policjant nie mógł oderwać od niego oczu? Nie potrafił zrozumieć. To jak hipnoza, gdy człowiek patrzy w dyndający na prawo i lewo złoty zegarek, a potem... pstryk! Nie pamięta absolutnie nic, co do niego powiedziano.

Drugą zastanawiającą kwestię stanowiło jego imię i nazwisko. *Shay Venim*. Dokładnie tak nazywał się sąsiad fikcyjnego prawnika, mający zamiar zamordować go w wyjątkowo bestialski sposób.

Przestań Ben... to tylko przypadek. Ludzie czasami nazywają się tak jak bohaterowie jakichś książek, nie panikuj. To najzwyklejszy w świecie zbieg okoliczności, pocieszał sam siebie. Wspomnienie ognistych oczu Venima i człekokształtnej kreatury ze snu były jednak silniejsze od

policjanta. Po plecach przeszedł mu lodowaty chłód.

Wyjazd na cmentarz, do Helen, pozwoli mi się otrząsnąć, postanowił.

Ubrawszy się odpowiednio, wybiegł przed dom, gdzie stała zaparkowana jego wysłużona, srebrna honda. Dźwięk rozrusznika silnika wprawił go w radośniejszy nastrój. Pisk opon mógł obudzić wszystkich mieszkańców okolicy, ale w tej chwili nie dbał o to. Chciał znaleźć się jak najdalej stąd. Kątem oka spojrzał na dom sąsiada. Drzwi były otwarte, a w progu stał Shay. Znowu te oczy... ogniste oczy, przesycone nienawiścią.

Ackos się nie mylił. To nie było przywidzenie. Shay Venim – rysownik i grafik o płonącym żywym ogniem spojrzeniu – obserwował go podejrzliwie. Niewiele myśląc, policjant wcisnął gaz do dechy, a honda wyrwała do przodu niczym rakieta.

Cmentarz znajdował się kilka przecznic od jego domu. Rząd marmurowych pomników i grobów był dla wielu osób ostatnim miejscem, w którym pragnęliby się znaleźć o tej porze, ale Bena nie interesowali inni.

Tutaj Helen Ackos pozostanie już na zawsze. Nigdzie się stąd nie ruszy.

Benjamin opowiedział swojej żonie o nowym sąsiedzie, tych przepelnionych nienawiścią spojrzeniach i ognistych oczach. Poinformował ją też, co robił przez ostatnich kilka dni i jak bardzo za nią tęskni.

Po krótkiej „rozmowie” z Helen wykonał znak krzyża i, stojąc przed grobem, wybuchł spazmatycznym płaczem. Śmierć bliskiej osoby zawsze jest traumatycznym doświadczeniem. Otarłszy rząd łez spływających po policzku, stłumił szloch i odwrócił się plecami do grobowej płyty. Przy wyjściu z cmentarza znajdowała się niewielka kapliczka. *O tej porze na pewno jest zamknięta... a co mi tam* – zastanowił się przez chwilę i ruszył ku niej. Jego przewidywania nie okazały się bezpodstawne – stare, mahoniowe drzwi były zamknięte. Mimo tego, Ben uklęknął przed nimi, zamknął oczy i, ignorując nasilające się uczucie głodu, modlił się w intencji zmarłej żony. *Niech odpoczywa w pokoju wiecznym, o Panie nasz najwyższy* – te słowa powtarzały się w jego głowie raz za razem. Kiedy otworzył z powrotem oczy, głód stał się nie do zniesienia. Skończywszy żarliwą modlitwę, opuścił cmentarz w pośpiechu i skierował się do małego baru z przystępnymi cenami, tuż przy stacji benzynowej.

Na miejscu pochłonął cheeseburgera z sosem czosnkowym i podwójną szynką. *Fast-foody to może i zło dla ciała, ale w niektórych przypadkach lekarstwo dla duszy* – tych słów użył dziennikarz jednego z magazynów, które uwielbiał czytać. Przyglądał się ostatniemu kawałkowi bułki, z której ostatecznie zrezygnował.

Czas wracać do domu, postanowił. Na zewnątrz zaczęło się ściemniać. Niebo przywdziało dumne, granatowe i ugwieżdżone szaty.

Kiedy wrócił, w domku Shaya nie paliło się żadne światło.

Może poszedł już spać, pomyślał Ben, westchnąwszy. Szybkim krokiem przekroczył próg swojego domu i błyskawicznie wbiegł na górę. Tam rozebrał się, wziął szybką kąpiel i położył się do łóżka. Zbyt zmęczony, żeby myśleć o czymkolwiek, zasnął błyskawicznie.

W świecie wykreowanym przez Morfeusza kolejny raz pojawiła się Helen. Tym razem tańczyli w bliżej nieokreślonej scenerii. Prawdopodobnie gdzieś blisko jeziora, gdzie nie było nikogo. Światło księżyca oświetlało ich romantyczne ruchy.

W pewnym momencie Helen odepchnęła go, podeszła bliżej i z całej siły – chociaż nie mogła wymówić ani słowa – krzyknęła mu do ucha: „Ben, wstawaj i uciekaj!”.

Jakaś siła – nie z tego świata – wyciągnęła go z łóżka za nogi. Tak szybko i mocno, że Ben uderzył głową o drewniany parkiet, budząc się z lekkim bólem czoła.

To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach. Łóżko było pokiereszowane, a na środku był wbity imponujących rozmiarów tasak. Dalej, koło łóżka, stała humanoidalna postać o dziwnie znajomych i – o cholera! – płonących żywym ogniem oczach, wydając z siebie nieokreślone skowoty. Miała na głowie jakby kaptur... Dopiero światła samochodu przejeżdżającego ulicą pod domem oświetliły jej twarz. Shay Venim!

Stwór jęczał i skowyczał, próbując wyrwać tasak z łóżka. Po krótkiej szamotaninie udało mu się. Potężny, ostry nóż był znów w jego rękach.

Venim zamachnął się nad głową Ackosa. Ten jednak zdołał się schylić wystarczająco mocno, aby uniknąć zranienia. Tasak ze zgrzytem wbił się w ścianę. Odłamki posypały się po ciele policjanta. Ben wszystkimi siłami próbował wyczołgać się z okolic łóżka i stanąć na nogach, by choć trochę zwiększyć swoje szanse na przeżycie. Wyrwanie tasaka ze ściany okazało się już dla szalonego sąsiada nie lada wyzwaniem. Ackos z trudem złapał równowagę i głową otoczoną rękoma uderzył w brzuch szaleńca. Siła uderzenia sprawiła, że Venim runął bezwładnie do tyłu.

Teraz albo nigdy!

Ben zapalił światło nad schodami i zaczął zbiegać w dół. Robił to tak szybko, jak mógł. Musiał dostać się do hondy i oddalić od szaleńca. Gdy przeskoczył ostatni schodek, usłyszał trzask pękającej ściany. Shay Venim musiał odzyskać swoją broń. Nie odpuści. To pewne.

Ackos wybiegł z domu z myślą, że zyskał chociaż odrobinę przewagi nad napastnikiem. Nie dowierzał własnym oczom, gdy Shay wyskoczył przez okno znajdujące się w sypialni i runął na ziemię, nie przewracając się ani nie chwiejąc z bólu. Czy to był człowiek? To nie była dobra chwila, żeby się nad tym zastanawiać. Z tasakiem w dłoni, wyjąc niemiłosiernie, Venim gnał już bowiem za swoim celem. Ackos jednak miał przewagę.

Wsiadł do hondy, dziękując Bogu, że przez roztargnienie zostawił klucze w stacyjce. Odpaliwszy samochód, wrzucił bieg wsteczny i wcisnął gaz do oporu. To, co zobaczył przez szybę, przeczyło wszelkim prawom grawitacji.

Shay jednym skokiem przemierzył dzielącą ich odległość, lądując na masce auta.

Zaskoczony natychmiastową reakcją szaleńca, Ben odbił kierownicą maksymalnie w prawo, zrzucając potwora z maski. Bestia przetoczyła się kawałek po jezdni. Ku jego przerażeniu, nie minęła nawet chwila, kiedy Venim ponownie wstał i zaczął biec w stronę hondy. Tego było za wiele. Policjant przerzucił bieg na jedynekę i wcisnął gaz.

Dystans między nim a szalonym sąsiadem zwiększał się z każdą minutą.

Nerwowo kontrolując obydwa wsteczne lusterka upewnił się, że jego rąbniętego sąsiada nie widać w żadnym z nich. Psychol pozostał daleko w tyle i na razie nie zapowiadało się, żeby sytuacja mogła gwałtownie się zmienić. Ben był roztrzęsiony. Został wyrwany w środku nocy z łóżka wskutek ingerencji niewytłumaczalnych sił, a potem cudem uszedł z życiem, nawiedzony przez nienormalnego sąsiada.

Minął kilka przecznic i zajechał na parking przy stacji benzynowej.

Jakieś słodycze to teraz jedyna potrzebna rzecz, mruknął pod nosem. Kupił trzy duże batony i pospiesznie opuścił stację. Rozejrzał się po okolicy – wokół nie było żywej duszy. Ben pomyślał, że to niezbyt dobre miejsce na taki biznes. Stacja benzynowa trzymała się jednak dzielnie i nie narzekała na bestialsko panoszący się po kraju kryzys.

Srebrna honda Ackosa była jedynym samochodem na parkingu. Podszedłszy bliżej auta, zmęczony jak nigdy dotąd, znów wyczuł aurę piekielnego zła.

Shay Venim musiał być gdzieś blisko. Ben instynktownie obrócił się twarzą w kierunku wejścia na stację i dojrzał psychopatycznego sąsiada, skowyczącego na jej dachu. Księżyc oświetlał go mleczną luną. Ben miał dziwne wrażenie, że twarz psychola zniekształciła się. W Shayu Venimie prawdopodobnie nie było już nic z człowieka.

Odwrót w stronę auta był niemożliwy. Świr już kilkakrotnie złamał prawa ziemskiej grawitacji i potrafił przeskoczyć odległość kilku – ba! – kilkunastu metrów bez żadnego szwanku. Gdyby Ben zdołał dobiec do samochodu i odpalić go, siła uderzenia bestii wskakującej na maskę zmiażdżyłaby silnik. Niewiele myśląc, Ackos wystrzelił jak z procy w kierunku punktu obsługi klienta.

Kasjer – piegowaty nastolatek o posturze Flipa i bladozielonych oczach, które bezsprzecznie określały jego nerwowy charakter – spojrzał zdziwiony na Bena, który przecież niedawno opuścił stację.

– Czymś jeszcze mogę służyć, proszę pana? – zapytał bez zainteresowania, jak gdyby praca na stacji benzynowej była jego największą porażką w życiu.

– Tak. Potrzebuję pomocy, a właściwie... broni! – wypalił Ben, oglądając się nerwowo do tyłu i oczekując najgorszego.

– Broni? Proszę pana, to jest stacja benzynowa. Sprzedajemy tutaj wiele rzeczy, ale nie mamy

broni – odrzekł ponurym głosem chłopak. Ackos chciał już poprosić o cokolwiek do obrony, ale odgłosy silnych i szybkich kroków, dochodzące gdzieś znad ich głów, przyprawiły go o chwilowy paraliż.

Piegowaty nastolatek omiótł spojrzeniem pękający sufit. W końcu, pod ciężarem skaczącej po nim bestii, strop runął. Spory odłamek betonu przygniół kasjera, który, niesamowicie jęcząc, ostatkiem sił próbował wydostać się na zewnątrz. Obrażenia były zbyt wielkie – nie dał rady. Jego bladozielone oczy, teraz już martwe, wyrażały już tylko śmiertelną pustkę. Oto kruchość egzystencji.

Ciebie też czeka taki los, Ben. Kto wie, czy nie szybciej niż sobie zaplanowałeś, mruknął pod nosem, wyobrażając sobie, jak duch kasjera ulatuje wysoko w kierunku niebios. Rozważania o śmierci przerwało kolejne, głośne huknięcie. Z dużego otworu przy suficie wyłoniła się humanoidalna sylwetka. Stwór był niczym wilk. Mocne światło w punkcie obsługi klienta pozwalało dokładniej przyjrzeć się bestii. Nie pozostało z niej prawie nic, co można by scharakteryzować jako ludzkie. Shay Venim – ten, którego policjant poznał kilkanaście godzin temu – teraz przypominał diabła o żarzących się czystym ogniem oczach. Prawdopodobnie przechodził jakąś przemianę. Co ją powodowało? Ben nie potrafił znaleźć dostatecznie rozsądnej odpowiedzi na to pytanie.

Zwinnym i elastycznym ruchem Shay wskoczył na ziemię, stając niewiele ponad metr od Bena. Ackos chwycił kasety video znajdujące się na przenośnej, metalowej półeczce i ciskał nimi w potwora, ile miał sił w rękach. Jego wola walki rosła z minuty na minutę. Mimo to dopiero ostatnia z pięciu wyrzuconych kaset nie chybiła. Rycząca bestia oberwała w głowę i straciła równowagę. Ciężko dysząc i popiskując, próbowała wstać.

Boże święty, co teraz? – pomyślał targany przerażeniem, widząc nieudolne próby podniesienia, podejmowane przez ohydneho stwora.

Z zamyślenia wyrwało go głośne trzaśnięcie u resztek sufitu. Rosnące pęknięcie na suficie mogło zwiastować tylko jedno – zawalenie się budynku. Załedwie kilka kroków od wyjścia... Ackos zamknął oczy. To już koniec. Śmierć bezlitośnie patrzyła na niego, wijąc się z radości i powolutku wysuwając swoje opuchnięte, czarne jak smoła wypustki.

Dygocząc ze strachu, poczuł gwałtowne szarpnięcie z tyłu. Tak silne, że rozbił plecami szklane wejście i przeturlał się kawałek od rozpadającego się budynku, unikając Sądu Ostatecznego. Huk, z jakim zapadała się stacja benzynowa, musiał być słyszalny w obrębie kilku najbliższych przecznic. Gdzieś tam pod spodem został pogrzebany Shay Venim, a raczej leżało coś, co może go tylko przypominało – jakaś kreatura z piekieł.

Leżąc na plecach i mrużąc oczy, Ben nie zauważył, żeby cokolwiek poruszało się pod gruzowiskiem. Czyżby Helen uratowała go kolejny raz przed spotkaniem ze Stwórcą?

Przed tą nocą pełną wrażeń nigdy nie zastanawiał się nad niewytłumaczalnymi siłami z zaświatów. Teraz, gdy ktoś – a może coś – dwa razy uratowało mu życie, poczuł dziwaczny lęk.

Zaraz pojawi się tu policja, pomyślał Ackos. Powolnym krokiem poszedł do auta.

Stukot pracującego silnika samochodu przywrócił Benowi wiarę w możliwość zwycięstwa nad przeznaczeniem. Zupełnie nie dbał o to, że miał powbijane w ciało odłamki szkła z drzwi wejściowych. Odjechał z piskiem opon i skierował się na punkt widokowy, niedaleko na zachód od stacji. Nie chciał wracać do domu. Nie czuł się tam bezpieczny, a na cmentarzu inaczej być nie mogło.

Punkt widokowy – słabo oświetlony kilkoma wysokimi lampami ulicznymi, górował nad miastem, jak mężczyzna nad kobietą w akcie miłosnej ekstazy. Nie bez powodu nazywał się Punktem Zbłąkanych. Ludzie często zjawiali się tutaj, dumając nad sensem swojej egzystencji. Artyści modlili się o sukces i pieniądze. Zakochane pary wspólnie planowały przyszłość, a samobójcy przekonywali się, że warto żyć.

Zaczął zastanawiać się, czy uciekać stąd, czy zostać.

Uciekaj! Nie masz tu nikogo. Pracę znajdziesz w innym mieście, poznasz nowych ludzi. Skąd wiesz – może nawet ponownie się zakochasz? Pozostanie tutaj w żaden sposób ci nie pomoże – podpowiadał mu pierwszy głos, który pojawił się w jego głowie.

Zostań! Nie bądź głupi. Nie masz już dwudziestu lat, a świat nie stoi przed tobą otworem. Tutaj spędziłeś tyle czasu – chcesz to po prostu przekreślić? Walcz o przetrwanie! Shay Venim już najprawdopodobniej nie żyje, więc nie ma powodu się przejmować – odezwał się drugi głos.

Zamknięty w swoim świecie – Helen, praca, książki, dom – Ben zupełnie zapomniał, co to znaczy żyć. Od dawna nie wyjeżdżał z miasta.

Nie czuł takiej potrzeby, ale... Może to odpowiednia chwila, żeby raz na zawsze zerwać z przeszłością i dać się porwać teraźniejszości?

W jego głowie kiełkowało tysiąc pomysłów naraz. Spojrzał jeszcze raz na punkt widokowy – stromy pagórek, z którego zejście na dół mogło stanowić najbardziej nieodpowiedzialną i ostatnią czynność, jaką mógłby wykonać. Słabe, uliczne latarnie rzucały swoje cienie na ścieżki wzdłuż pagórka. Jeden z nich przypominał człowieka. Ktoś się zbliżał.

Ackosem wstrząsnął dreszcz, ale po chwili uspokoił się – do punktu widokowego nocą przychodziło wiele osób i nie było w tym nic dziwnego. Miał jednak wrażenie, że cień staje się coraz bardziej szkarłatny. Może psychika odmawiała mu już posłuszeństwa pod wpływem wydarzeń dzisiejszej nocy?

Kilkakrotnie poklepał się po policzkach, zamknął oczy, przetarł dłońmi twarz i spojrzał w stronę cieni rzuconych przez latarnie. Szkarłatny cień zniknął.

Boże drogi, zaczyna mi odbijać, stwierdził posępnie, patrząc nieruchomo na latarnie.

– Beeeeennnn... – usłyszał piskliwy, ponury głos, dochodzący gdzieś z dolnych części punktu widokowego. Policjant podbiegł do granitowej zapory, chroniącej przed wypadnięciem ze stromego pagórka.

– Beeeeeeennnn... – wołanie powtórzyło się. Tym razem tembr głosu był cięższy. Coś czyhało na Ackosa na samym dole. Coś, co wzbudzało w nim paniczny strach. Przeżył wystarczająco niewytłumaczalnych zjawisk jak na jedną noc.

Policjant odszedł od zapory na odległość kilku kroków, poruszając się powoli i czujnie. Po chwili ujrzał dwie odarte ze skóry, pokryte zaschniętą krwią ręce. Widok ten sparaliżował go całkowicie. Nie mógł się ruszyć ani nawet krzyknąć. Ręce chwyciły się coraz dalszych fragmentów zapory. Za nimi ukazała się reszta humanoidalnego ciała.

Noc szeleściła ciepłym wietrzykiem, jak gdyby obserwowała walkę bokserów na słabo oświetlonym ringu.

Nigdy nie zamykaj oczu w obliczu zagrożenia! Jeśli masz pod ręką chociażby pędzel malarski, możesz wykorzystać go jako solidną broń. Dzięki niemu sprawisz, że napastnik utraci zdolność widzenia na kilka chwil, a ty będziesz mogła kopnąć go w najbardziej bolesne miejsce!

Tego uczył Helen, kiedy w okolicy ich domu pojawiały się drobne złodziejaszki, czyhające na dobytek ludzi. Strach ma wielkie oczy, ale wystarczy wetknąć w nie palce – a będzie się wił i błagał o litość. Ben poczuł, jak wzbiera się w nim odwaga, której mógłby mu pozazdrościć sam William „Braveheart” Wallace.

Z rozpędu uderzył ręką w pokrytą krwistymi łuskami twarz stwora. Nie przypominała w żadnym calu tej, którą dawniej posiadał Shay Venim. Nie zastanawiał się, jakim cudem bestia pojawiła się tutaj. Walący się strop stacji benzynowej powinien wyeliminować ją z gry zwanej życiem raz na zawsze. Z gry zwanej życiem. Życiem. No właśnie. Życiem. Bestia najprawdopodobniej z tej gry była wyeliminowana już bardzo długi czas i wszelkie uszkodzenia fizyczne nie stanowiły dla niej żadnego problemu. Atak Ackosa okazał się daremny, chociaż potwór rozluźnił chwyt i runął w dół.

Kiedy znowu podbiegł do zapory i zerknął na miejsce jego upadku, zauważył, że stwór stanął na nogach i kolejny raz próbuje wdrapać się na szczyt punktu widokowego.

Nie było czasu na planowanie. Ben zbiegł w dół i stanął ze potworem oko w oko.

Po chwili przyszła mu do głowy pewna teoria – zbyt absurdalna, aby mogła być realna. Ale... jeśli tak jest naprawdę? Jeśli bestia nie ma nic wspólnego z rysownikiem, a przybrała jedynie jego wygląd i przyszła tutaj, aby oddać Bena Helen?

Policjant nigdy wcześniej nie rozważał samobójstwa, a jego życie mogło trwać jeszcze długie lata. Na pewno mógłby awansować, ale... czy warto żyć, kiedy egzystencja sama w sobie traci sens? Może tak naprawdę to Helen wysłała ową bestię, aby sprowadziła Bena do tego miejsca, w którym się znajduje? Nie miał już siły i chęci się bronić.

Pierwszy cios rozpruł mu brzuch, drugi podciął gardło. Policjant, zataczając się niczym wazon na stole, runął na ziemię w kałuży krwi. Resztkami sił obserwował łuskowatą twarz bestii, która – nawet w chwili swojego zwycięstwa – skowyczała przeraźliwie i złowrogo.

Świat zakrył się mglistym szalem, zrzucając raz na zawsze ze swojego tajemniczego ciała niebiesko-granatową suknię, wypełnioną słonecznym blaskiem i poświatą księżyca i gwiazd. Kręcąc głową, Ben dyszał po cichu i widział już zmierzającą w jego kierunku Helen.

Prześliczne, brązowe oczy patrzyły na niego z troską. Nie wiedział, jakim cudem, ale podniósł się z ziemi i stanął naprzeciw swojej ukochanej. Wpadli w swoje ramiona. Helen i Ben Ackosowie. Nierozłączni. Teraz i na zawsze.

Udali się na wieczny spacer w mglistej krainie cieni.

rys. Kornel Nurzyński



SREBRNIKI

Maciej Zawadzki

Wsiadłem do powozu i rozsiadłem się wygodnie. Widok szklanej butelki wypełnionej zielonym napojem nie mógł ujść mej uwadze. Zielona wróżka od początku naszego spotkania próbowała ze mną flirtować. Ja, jak przystało na dobrze wychowanego młodzieńca, nie mogłem pozostać obojętny wobec tych wyraźnych zalotów. Kiedy pierwsze krople wznieciły moje nieokiełznane pożądanie, poczułem przyjemne ciepło wypełniające duszę i ciało. Nie minął jeszcze kwadrans, a – zamknięty w jej objęciach – patrzyłem na świat z innej perspektywy. Wydawał się teraz jakby weselszy. Za oknem panował mrok, który swym płaszczem okrył już wszystko, nie oszczędzając nawet delikatnego blasku księżyca, który na próżno próbował wyrwać się ze szponów czarnych jeźdźców. Usłyszałem, jak stangret potraktował konie biczem, nie mając przy tym litości. Biedne zwierzęta posłusznie przebierały kopytami coraz szybciej.

Wszystko rozpoczęło się, kiedy w południe otrzymałem list, zawierający tragiczną informację o śmierci mego ojca. Uroniłem kilka żałobnych łez, jednak nie mogę z czystym sumieniem stwierdzić, aby przepełniał mnie straszliwy ból. Może mieszkając samotnie od kilku lat zatraciłem już wszelkie ludzkie odruchy, a może moja więź z ojcem nie była na tyle silna, abym

odczuwał teraz jego brak. Prawdopodobnie nigdy nie doszłoby do tej podróży, gdyby nie mały, aczkolwiek charakterystyczny podpis, który zdobił kartkę papieru. Należał on do mojej matki. Kobiety o anielskim uśmiechu, którego nie straciła pomimo licznych cierpień, mogących niejednego człowieka zaprowadzić do ciemnych lochów ludzkiej egzystencji. Jako syn postanowiłem spełnić swój obowiązek wobec niej i podczas uroczystości pogrzebowych być jej oparciem w sensie psychicznym jak i fizycznym. Aby to uczynić musiałem wpierw dotrzeć do Bordeaux, gdzie mój ojciec, a raczej jego ciało, miał udać się w swą ostatnią podróż.

Droga była jednak długa i bardzo nużąca, toteż postanowiłem zakpić sobie z mojego wroga, jakim był czas, uciekając w krainę snu i fantazji. Kiedy opróżniłem całą zawartość jedynej butelki z alkoholem, obserwując ciemny las, przez który mknęliśmy niczym diabelski rydwan, odczułem nagłą i bardzo silną potrzebę snu. Jako że wypiwszy cały dostępny trunek wyczerpałem limit uciech przewidzianych na czas podróży, po krótkiej naradzie, jaką przeprowadziłem sam ze sobą, uznałem, że jest to propozycja nie najgorsza, zważywszy na brak innych. Sen przyjemny, chociaż krótki, został w brutalny sposób przerwany.

Nie wiedziałem jak i dlaczego, ale nagle znalazłem się w dość niezręcznej sytuacji. Dwóch, prawdopodobnie miejscowych, oprychów postanowiło zadzwic sobie z obowiązującego prawa i nasycić puste, plebejskie żołądki, w czym miały im pomóc nasze sakiewki. Owszem, w młodości pobierałem lekcje, które miały mi pomóc właśnie w takich sytuacjach, jednak przyznaję, że pilnym studentem nie byłem. Zamiast przyuczać się do szpady i broni palnej, wolałem przechadzać się po parku z tomikiem poezji, co znacznie ułatwiało mi nawiązywanie bliższych kontaktów z młodymi panienkami.

Początkowo chciałem uciec się do swych zdolności negocjacyjnych, wyniesionych z czasów, gdy utrzymywałem się z drobnego handlu. Jednak druga strona, wykorzystując lśniące ostrze noża, które czule witało się z moim gardłem, dała mi delikatnie do zrozumienia, że nie jest zainteresowana polubownym załatwieniem sprawy.

Chwilę później usłyszałem jakieś niewyraźne, stłumione dźwięki. Ich autorem był mój woźnica, Laurent. Ze związanymi rękoma i zakneblowanymi ustami wpadł do środka powozu, pchnięty przez drugiego zbira, wielce ucieszonego zaistniałą sytuacją. Po chwili krótkiej ciszy, jeden z owych „dzentelmenów”, którego wyraz twarzy potwierdzał moje obawy dotyczące jego inteligencji, zadał banalne pytanie, powszechne i niemalże zużyte już w środowisku ludzi z jego profesji.

– Gdzie macie pieniądze?

W tym momencie, na moje nieszczęście, doleciał do mnie zapach, przy którym odór unoszący się w okolicach publicznych toalet z czystym sumieniem można by nazwać najwyższej jakości perfumami. I chociaż byłem świadom, iż dłuższa wymiana zdań z tym człowiekiem może

skończyć się dla mnie utratą przytomności, nie mogłem pozbyć się ochoty, by wbrew temu, co wyniosłem z lekcji dobrych manier, odpowiedzieć pytaniem na pytanie.

– A skąd panowie wiedzą, że w ogóle je ze sobą mamy?

Po wypowiedzeniu tych, poniekąd uszczypliwych słów, poczułem ostry ból w okolicach potylicy, na tyle silny, iż po raz kolejny tamtego wieczoru straciłem kontakt z rzeczywistością. Do dzisiaj nie mogę ustalić, który ze zbirów uderzył mnie w głowę ani jakim narzędziem się posłużył, wiem natomiast, dzięki komu żyję i mogę spokojnie – przynajmniej przy niektórych fragmentach – dzielić się swoimi wspomnieniami, zapisując kolejne strony tej przedziwnej historii.

Tym człowiekiem był... no właśnie. Sam nie dostąpiłem tego zaszczytu, ażeby zobaczyć twarz mojego wybawcy, gdyż z niewłasnej woli znajdowałem się w stanie, który mi to uniemożliwił. Na szczęście mogłem liczyć na Laurenta, który pomimo tego, iż swoją przygodę z edukacją zakończył bardzo szybko, potrafił, o dziwo, w miarę jasno i zrozumiale posługiwać się słowem mówionym.

Wróćmy jednak do tajemniczego człowieka, dzięki któremu uniknęliśmy śmierci z rąk parszywych łajdaków. Powołując się na relacje Laurenta, chwilę po tym, jak straciłem przytomność, ktoś wystrzelił z broni, a echo niosło się po całym lesie. Usłyszawszy to, jeden z oprychów wyszedł z powozu, aby sprawdzić, czy przypadkiem nie pojawił się ktoś, kto chętnie dołączyłby do podziału łupu. Ledwo zdążył wychylić głowę zza drzwi powozu, padł kolejny strzał, a kula trafiła prosto w głowę zbira. Widząc to, drugi łotr wyraźnie przestraszony rzucił się do ucieczki. I jego dosięgła kula sprawiedliwości, tym razem przebijając klatkę piersiową. W powozie pozostał tylko Laurent, który nie wiedząc, co go czeka, zaczął odmawiać modlitwę – na wypadek, gdyby przedwcześnie został wezwany do Stwórcy. Jak już wiecie, nic złego nie stało się ani mnie, ani mojemu woźnicy. I w tym momencie mógłbym już skończyć opowiadanie, gdyby nie pewien dość istotny szczegół.

Otóż nieznamy w czasie, gdy wciąż odczuwałem skutki mocnego uderzenia, poprosił Laurenta, aby w zamian za uratowanie życia dostarczyć list do hrabiego Serville'a. Nie było powodu, aby mu odmówić, tym bardziej, że akurat tak się składało, że pan Serville mieszkał w okolicach Bordeaux, w mieście, pod którego ziemią miały spocząć kości mego ojca. Po wysłuchaniu powyższej historii, schowałem białą kopertę do kieszeni i nakazałem Laurentowi ruszać dalej.

Ciemność nadal niepodzielnie panowała na niebie, kiedy podjąłem decyzję, na którą czekał zapewne z niecierpliwością Laurent. Sam nie ukrywałem radości, kiedy wśród wszechogarniającego mroku ujrzałem jasny promyk, będący – jak się później okazało – światłem bijącym z okien gospody „Wesoły byk”. Podążając do drzwi wejściowych spostrzegłem dziwny przedmiot, który przekrzywiony, wbity w ziemię stał na straży. Zaintrygowany podszedłem bliżej. Zimny dreszcz przepełnił moje ciało, kiedym ujrzał dwa drewniane patyki, które posłużyły do

wykonania symbolicznego krzyża. Dodatkowo, przybita została również do niego mała tabliczka, na której widniał niegdyś napis, a teraz tylko zamazane, niezgrabne litery. Choć początkowo nabrałem pewnych podejrzeń, dotyczących owej zacnej gospody, zaraz się ich wyrzyłem, gdy na przedzie moich myśli stanął głód, którego zaspokojenie było moim głównym celem.

Gospodarz udzielił nam schronienia przed wszelkimi niebezpieczeństwami, które wyszły ze swych nor pod osłoną nocy, a za skromną opłatą, przyrządził iście królewski posiłek, choć do dziś się zastanawiam, czy jego wyborny smak był zasługą kucharza, czy może najlepszej przyprawy, jaką ludzkość zna – głodu. W czasie wieczerzy uciałem z owym mężczyzną luźną pogawędkę na tematy wszelakie. Opowiedziałem o celu naszej podróży, a na wydarzenia wcześniejsze spuściłem zasłonę milczenia. I choć mój rozmówca wydawał się człowiekiem radosnym, to jednak uważny obserwator, a za takiego wówczas się uważałem, mógł dostrzec w jego oczach, będących niczym odzwierciedlenie duszy – wyraźny smutek, który domagał się uwolnienia, przyduszony pod maską uśmiechu. Toteż, choć chciałem zapytać się o stojący przy drodze krzyż, ugryzłem się w język i udałem się na spoczynek, by odbudować siły przed porannym wyjazdem. Podczas snu nawiedziły mnie przerażające wizje, których realne kształty wywołały u mnie stan bliski agonii. Instykt podpowiadał mi, że istnieje silny związek między serdecznym gospodarzem a krzyżem zapomnienia, który stał przed „Wesołym bykiem”. Odkąd postanowiłem, że wyjaśnię tę sprawę dnia następnego, czarne widma opuściły krainę moich snów i całą noc mogłem rozkoszować się ciepłem i wygodą łóżka.

Nazajutrz, po pożegnalnym śniadaniu, pośpiesznie zacząłem szykować się do wyjazdu, gdyż cel naszej podróży był jeszcze bardzo odległy, a czas płynął nieubłaganie. Laurent, nucąc wesołą melodię – jak gdyby zapomniał o wszystkim – czekał na mnie na zewnątrz. Stojąc w drzwiach i dziękując gospodarzowi za gościnę, chciałem sprytnie wpleść w potok słów pytanie o krzyż, który budził we mnie coraz większy lęk. Jego twarz nagle posmutniała, obnażając swoją prawdziwą naturę. Mężczyzna stał dłuższą chwilę w bezruchu. Po chwili jednak zaczął uśmiechać się nerwowo i wskazał drżącą ręką na dwa krzesła, lśniące na tle rozpalonego kominka. Wciąż panowała niezręczna cisza, którą raz po raz zakłócał trzask palącego się drewna. Wreszcie gospodarz wybudził się ze swojego dziwnego stanu i zajmawszy wygodnie miejsce rzekł:

– Przyznam, że w duchu modliłem się, aby nie pytał pan o ten krzyż. Chociaż płonne były to nadzieje, gdyż wyróżnia się on na tle mojej gospody i trudno, aby przejść koło niego obojętnie. Widok to powszechny na cmentarnej ścieżce, lecz nie tu... Był ponury, listopadowy wieczór. Rozszalała wichura wraz z obfitym deszczem sprawiły, że gospoda wypełniła się po brzegi. Ciepło, śpiewy i głośne rozmowy kontrastowały z ponurym widokiem, który można było zaobserwować za oknem. Wraz z pierwszymi błyskawicami, pojawił się u nas ten nieszczęśnik. Nazywał się Piotr Buwał. Wesoły był to człowiek, rzekłbym, nazbyt wesoły jak na te mroczne czasy. Lubił wypić

i przy tym miał wiele ciekawych historii do opowiedzenia. Toteż nie zdziwiłem się, gdy w dość krótkim czasie zgromadził wokół siebie liczną gromadę amatorów opowiadań i miodów pitnych. Mimo że roboty miałem za trzech, zdążyłem usłyszeć, iż był on posłańcem pewnego możnego hrabiego, który powierzył mu bardzo ważne, a przy tym niebezpieczne zadanie. Jak się okazało, jego pan, dysponujący ogromnym majątkiem, rozmiłowany był w kolekcjonowaniu wszelakich drogocennych przedmiotów. Tym razem, po przestudiowaniu jakichś średniowiecznych zwojów, postanowił wejść w posiadanie rzekomych srebrników, które Judasz Iskariota otrzymał za zdradę Jezusa Chrystusa. Korzystając z dobrodziejstw kolejnych ksiąg, znalazł on informację, że do naszych czasów uchowały się tylko trzy takie monety, a nazwiska ich posiadaczy są zagadką i wielką tajemnicą. Odgrzebując stare znajomości i otwierając nader często drzwi do swojego skarbcza, hrabia pokonał i tę barierę.

Przeszło rok czasu zajęło Buwalowi odnalezienie owych ludzi. Nie byli oni chętni, by pozbywać się swoich srebrników, jednak zaślepieni złotem, które Buwal wysypywał u progów ich domów, zmieniali natychmiastowo zdanie. Nasz nieszczęśnik, po wykonaniu zadania, wracał pospiesznie do swojego pana. Będąc blisko celu, zatrzymany przez siły natury, wstąpił do naszej gospody. Nazajutrz, tak jak prosił mnie Buwal, przyszedłem do jego pokoju wczesnym rankiem, by zbudzić go ze snu i podać gorący posiłek. Zapukałem do drzwi, jednak w odpowiedzi usłyszałem głuchą, niepokojącą ciszę. Kiedy spostrzegłem, że drzwi są uchylone, postanowiłem je otworzyć. Obraz, który ujrzałem, do końca życia będzie mnie prześladować jak cień. Z łóżka przesiąkniętego krwią zwisała ludzka ręka. Kiedy pokonawszy strach podszedłem bliżej, ujrzałem martwą twarz Buwala, z której wraz z życiem zniknął charakterystyczny uśmiech. Policja prowadząca śledztwo ustaliła, iż było to morderstwo na tle rabunkowym, czego dowodem miała być pusta i rozszarpana sakiewka, znaleziona przy nieboszczyku. Sprawców nie znaleziono, przynajmniej żywych.

W jakiś czas później odprawiono pogrzeb Buwala na pobliskim cmentarzu. Uroczystość odbyła się w obecności mojej, kilku mieszkańców oraz miejscowego proboszcza, księdza Piroux. Trzy dni po pogrzebie doszło do kolejnego morderstwa. Tym razem znaleziono zwłoki trzech mężczyzn, którzy owej feralnej nocy w gospodzie, słuchali namiętnie opowieści Buwala. Policja podejrzewała, iż były to ciała jego morderców, a ich śmierć odczytywano jako akt zemsty. We wsi zaczęły krążyć zabobonne plotki, mówiące o duchach, które można jedynie tłumaczyć prostotą umysłów. W jakiś czas później odwiedziłem naszego proboszcza, który podjął decyzję o zmianie parafii. Chciałem się z nim pożegnać i podziękować za dotychczasową posługę. Nie ukrywam, że pragnąłem również dowiedzieć się, czy ostatecznie, tragiczne wydarzenia miały wpływ na jego decyzję.

Duchowny wzbraniał się bardzo, by wyjawić mi prawdę, tłumacząc się decyzjami wyżej hierarchii kościelnej. Jednak pod naporem sumienia wyjawiał mi, iż był świadkiem

zmartwychwstania. Proboszcz, jak to często miewał w zwyczaju, tuż przed snem przechadzał się po cmentarzu, kiedy ujrzał rozkopany grób Buwała. W otwartej trumnie brakowało jednak zwłok. Biedak nie zdążył jeszcze pozbierać myśli, gdy następnego dnia znaleziono martwe ciała mężczyzn, którzy prawdopodobnie zamordowali posłańca i obrabowali go ze srebrników. Kiedy we wsi rozpowszechniła się plotka, jakoby duch zmarłego Buwała przechadzał się po okolicy, za proboszczem podążyli kolejni mieszkańcy. Jak pan zdołał zauważyć, gospoda świeci dziś pustkami.

Po wypowiedzeniu ostatnich słów, gospodarz popadł w stan melancholijnej zadumy. Jego wzrok utkwił w blasku rozgrzanego kominka, jak gdyby chciał spalić w nim swoje wspomnienia. Uznałem, że nie będę się już pastwił nad tym zbolałym człowiekiem i wyszedłem bez słowa. Kiedy odjeżdżaliśmy, zapragnąłem ostatni raz rzucić spojrzenie na „Wesołego Byka”. Pchnięty jakąś niewytłumaczalną mocą, wzrok mój skierowałem na posępny krzyż. Ujrzałem obok niego mężczyznę, który z delikatnym uśmiechem na twarzy machał nam na pożegnanie. Z każdym kolejnym stukotem kopyt jego postać powoli nikła, aż w końcu całkowicie się rozplynęła. Uznałem to za przewidzenie, które mogło wynikać z silnych przeżyć, jakich doświadczyłem w ostatnim czasie. Chcąc znaleźć ukojenie w oparach tytoniu, którego szukałem po kieszeniach, przypadkiem trafiłem, a zarazem przypomniałem sobie o białej kopercie dla hrabiego Serville’a.

Wyjąłem ją na tyle niezgrabnie, iż cała jej zawartość wypadła na podłogę. I nim zdążyłem się schylić, przeszył mnie dreszcz, gdy do mych uszu dotarł dźwięk monet.

rys. Roman Panasiuk



UWODZICIELSKIE SZALEŃSTWO

Tomasz Wójcik

Siedzę, patrzę w ścianę. Zegar miarowo tyka, wymierzając bezlitośnie małe wyroki, zbliżając mnie na równi ze wszystkimi do ponurego Żniwiarza. Wsłuchuję się w dźwięczną symfonię katorgi. Katorgi dźwięku, pokpiwającego ze wszystkich moich dążeń, pragnień czy przekonań. Na przekór niemu chcę to zakończyć sam, uprzędzić go i oszukać. Patrzę na kredens, gdzie znajduje się mój prześladowca. Jednostajny, wieczorny koncert: „TIK-TAK-TIK-TAK” pobudza i pruje moją wyobraźnię. Zostawia pustym i bez nadziei, bez otoczki ułudy, którą żyje każdy człowiek. Nie wytrzymuję, muszę wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Wstaję więc, zakładam szybko buty i obdarzam zegar ostatnim spojrzeniem. Staję jak wryty, ręce mi się trzęsą, robię się blady.

– T-to się, kurwa, nie dzieje... – mówię do pustych ścian.

Zamykam i otwieram oczy. Jeszcze raz, ale ten pierdolony zegar nie przestaje się uśmiechać. Tak, szczerzy się w uśmiechu.

– Co się nie dzieje? – pyta metalicznym tonem, w którym wyczuwam szyderstwo.

Robi mi się ciemno przed oczami, niedobrze, chyba zemdleję. Patrzę na zegar, jego uśmiech. Zęby. Ostre. Czy mi się zdawało, czy jednak się poruszył?

– Idź już, oczekują cię, a ja robię się głodny. – Metaliczny głos wybuchła obrzydliwym rechotem, jakby co najmniej opowiedział zbereźny żart.

Odwracam się, opieram ręką o szafę. Kilkoma szybkimi krokami opuszczam pokój, choć nogi się pode mną uginają. W przedpokoju przez dłuższą chwilę walczę z zamkiem. A raczej z trzęsącymi się rękoma.

– Pośpiesz się – zawodzi czasomierz metalicznym dźwiękiem.

Przekręcam zasuwę, wychodzę, w progu widzę wychylony zza framugi pokoju zegar, który mknie na dwóch nóżkach w moim kierunku. Zamykam z głuchym trzaskiem drzwi. Chwila ciszy i ciemności. Spokój.

– Boże, ja zwariowałem – mówię na głos. Moje słowa odbijają się echem wśród gołych ścian klatki, jakbym znajdował się w wielkiej hali. W hali, w której jest cicho i ciemno. *Dlaczego cicho?* – myślę, przecież sąsiedzi robią dzisiaj imprezę. Chyba ich jeszcze słyszałem, gdy byłem w domu i zapadałem się w katatonię dźwięków. Próbuję zapalić światło. Bezskutecznie.

– Boże, on zwariował – słyszę szept w ciemności.

– Tak, to totalny świr – odzywa się drugi.

– Nie daję mu szans – wtóruje im trzeci.

Zaczynam płakać. To się nie dzieje. Czy to szaleństwo w końcu położyło się czarną smołą na mojej biednej psychice, czy może uprzedziłem Żniwiarza i jestem w...

*Gdzie on jest, biedny się zagubił,
Czy na linie jest, na pętli wisi długi,
w czarnej smole kąpie się umysł?
Pozbawiony jest, biedak, swoich zmysłów...*

Szept śpiewem doprowadza mnie do amoku. Z mojej piersi dobywa się szloch, już nawet go nie kontroluję. W głowie mi huczy, resztkami sił staram się utrzymać strzępy myśli. *To się nie dzieje, idź na zewnątrz, świeże powietrze, dobrze ci zrobi...*

*Wariat biedny ten, na dwór on umyka,
choć ten horror w głowie, wcale mu nie znika.
Pozna dzisiaj wielki smak całej otchłani,
żaden człowiek inny więcej go nie zrani.*

Rejestruję już tylko, że głosów jest więcej. Śpiewają chórem dziecięcych pisków. Potępieńcy. Z pogardą, sykiem, nienawiścią i kpina. Śmieją się. Na szczęście jestem już pod

drzwiami klatki. Świeże powietrze. *Kurwa*, „na szczęście” – to mi się udało, chichocze sam do siebie mój szalony umysł. Głosy dalej zawodzą. Naciskam klamkę, otwieram drzwi, prawie czuję powiew powietrza z zewnątrz, daję krok. W nicość. Spadam, choć nie ma kierunku. Zaczynam lewitować w czarnej otchłani. Nie ma tu punktu odniesienia. Nie ma przestrzeni, a zarazem jest jej nieskończenie dużo. Nie jest zimno ani ciepło, źle ani dobrze. Jest spokojnie. I cicho. Oddalam się, widzę trupią poświatę z klatki, która oświetla małe, blade twarzyczki dzieci. Byłyby to dzieci, a może wyglądałyby jak one, gdyby posiadały oczy. Zamiast oczu miały jednak obrzydliwe, czarne dziury, wąskie, czerwone usta, które rozwarte szeroko ukazywały szeregi zębów spiłowanych w kształt litery v. Te szkaradne uśmiechy przesączone były jadem i nienawiścią. Wybuchnąłem rozdzierającym płaczem. Dlaczego oni to robią, dlaczego robią sobie krzywdę, dlaczego nienawidzą? Czy nie wiedzą, nie rozumieją, że można inaczej? Dlaczego ja muszę przez to cierpieć, czy to nękania, czy jako niepokodzony obserwator?

– Każda droga do tego, co siedzi jako koncepcja rajy w twojej głowie, nieodmiennie wiedzie przez koncepcję tego, co nazywacie piekłem. Niestety, na początku jesteście za głupi, by zrozumieć, że nie potrzebujecie piekła, czyli cierpienia. Jednak na początku wybieracie dla siebie taką drogę, niczym szalony sędzia, skazujący sam siebie na potępienie. Gdy w końcu poznasz otchłań, zanurzysz się weń i nabierzesz głębi, to zrozumiesz, że poznałeś zło. Teraz możesz świadomie wybrać alternatywną drogę, do tego, co nazywasz rajem – czyli świadomością i brakiem cierpienia.

Byłem przerażony i dygotałem ze strachu. Przy mnie, zawieszony w tej spokojnej pustce, dryfował Żniwiarz w czarnej szarfi, z kapturem na łysej czaszce. Jego ponury wygląd niósł bezlitosne przesłanie.

– Cz-czy t-to już koniec? T-ty n-na-p-prawdę tak wyglądasz? – zapytałem dygocząc.

– Postrzegasz mnie przez pryzmat obrazu, jaki o mnie wybudowałeś – ty i cierpiąca, upadająca mentalnie kultura, w której przyszło ci żyć. Zakończ głupie pytania i swoje cierpienie, zatańcz ze mną taniec uwodzicielskiego szaleństwa.

Czułem paniczny lęk, strach przed końcem, cierpienie i ból, osamotnienie i żal. Nie mogłem:

– B-boję się – wyjąkałem.

Czaszka popatrzyła na mnie z czułością i ciepłem. Zdziwiłem się, że czaszka potrafi wyrażać emocje.

– Cały twój byt zdominowany jest przez ból, rozdzierające cierpienie, samotność, smutek i strach. Tak strasznie boisz się to stracić? Widzisz, tak właśnie wygląda otchłań, jeżeli już raz jej posmakujesz, ściąga cię z powrotem z całą swoją siłą. Zatańcz ze mną, potępieńcze. Zatańcz taniec uwodzicielskiego szaleństwa i uwolnij się. Upuść to! ZAKOŃCZ TO!

Cierpienie, żal, strach, smutek stały się nie do zniesienia. Osiągnęły swój kulminacyjny

moment. Moment, po którym nastąpił spokój. A może nie spokój, lecz separacja. Oddzieliłem się od własnych emocji. Patrzyłem i przyglądałem się im. Spontanicznie wybuchnąłem głośnym i obłąkańczym śmiechem. Oszalałem. Przekroczyłem granicę. Koścista ręka pochwyciła mnie za dłoń, lecz już nie była to koścista łapa. Była to delikatna, miła w dotyku dłoń kobieca. Należała do czarującej brunetki. Najpiękniejszej istoty, jaką dane mi było widzieć, o obliczu wyzwolicielki. Jej widok niósł ukojenie, spoglądając na taką twarz, od razu myślisz z ulgą, że teraz już będzie dobrze.

Moją uwagę przyciągnął pianista, który pojawił się znikąd i rozpoczął subtelne granie. Muzyka instrumentu rozlała się po przestrzeni. Z czarnej otchłani najpierw usłyszałem kolejne dźwięki, które dołączyły się do pierwszego, a następnie ujrzałem całą orkiestrę, która wyłoniła się z osnów mroku. Muzyków otaczało czerwone światło, tworząc nierzeczywiste wrażenie groteski. Dłoń brunetki przyciągnęła mnie do siebie i rozpoczął się taniec. Śmiałem się do rozpuku, szalony, jak dziecko szczęśliwy i jak ono beztrocki. Wolny, lecz świadom cierpienia, które przeszedłem. Patrzyłem z radością na piękną damę w czarnej sukni. Tańczyliśmy. Mogło to trwać pięć minut, mogło wieczność. Tutaj czas nie miał znaczenia, zatracał się niczym ja. Jeżeli jeszcze miałem jakąś szansę powrotu do rzeczywistości, a może oparcia się szaleństwu, to już ją utraciłem. Przechodziło mi przez głowę mnóstwo wrażeń.

Doświadczałem różnych stanów emocjonalnych, których dane mi było zaznać w życiu. Poczułem się jak chłopiec, który siedzi na lekcji w ciepłe popołudnie, czeka na koniec zajęć i patrzy za okno z miłą beztroską. Moja kompanka, owa piękna dama, posadziła mnie na krześle. *Krzesło na parkiecie, przy orkiestrze, pośrodku niczego*. Rozbawiła mnie ta myśl. Z prędkością światła, a może bez prędkości, bo ciężko to tutaj było stwierdzić, zaczął się przybliżać pokój. Sala. A raczej klasa, byłem w klasie, siedziałem w ławce. Przed tablicą stał poczciwy, lecz postawny starszy pan, z brodą i wąsami. Ubrany w tweedową marynarkę i spłowiałe sztruksy, przywodził na myśl godnego zaufania wykładowcę. Na nosie miał okulary, zza których spoglądały na mnie oczy wypełnione mądrością wieków. Patrzył na mnie ze zrozumieniem i współczuciem. Ciepłym głosem powiedział:

– Twoja nauka dobiegła końca. Pamiętaj jednak, że koncepcyjny świat to iluzoryczność i ułuda. Nie istnieje jako miejsce piekło czy otchłań, raj czy eden. Koncepty te są próbą fizycznej manifestacji tego, co eteryczne, czyli stanu twojej świadomości, który może być wyższy bądź niższy. Umysł, który pograżył się w chaosie, nie zazna raju, tak samo jak prosty umysł nie zazna głębi. Natomiast świadomy umysł najgorszy świat zamieni swoją siłą w najlepszy, bliższy rajskiemu. Pamiętaj również o zwodniczości dualizmu, na przykład dobra i zła. To kolejne koncepty. Tam, gdzie nie sięga dobro ani zło, panuje spokój. Spokój rodzi zrozumienie. Za zrozumieniem kroczą empatia i miłość. Porzuć teraz zwodniczą iluzję, upuść ignorancą kotarę konceptualizmu.

Upuściłem. Zapadła ciemność. Być może moje ciało, gdzieś tam, w odległym świecie teraz

wynosili sanitariusze szpitala psychiatrycznego, patrząc z obawą na pustą skorupę lub zaślinionego wariata, a być może ostatnie krople krwi wypływały z mych poderżniętych żył. To już nie miało dla mnie znaczenia. Pierwszy raz, choć nie potrzebowałem tu powietrza, odetchnąłem z wielkim spokojem, którego nie zaznałem od bardzo dawna.

Chwilę później otchłań rozbłysła tysiącem kolorów. Pojawiło się złote słońce, którego promienie padły na mnie. Poczulem wielką radość, byłem szczęśliwy. W końcu słońce zaświeciło dla mnie.

rys. Roman Panasiuk



ŻYWNOŚĆ

Kornel Mikołajczyk

Ciężko powiedzieć, co we wnętrzu lodówki skończyło się jako pierwsze – data ważności czy prąd. Pamięć Żywności nie sięgała tak daleko. Było to jeszcze za jej prenatalnych, protoplazmatycznych lat, gdy spleśniała materia i ściekający freon spółkowały w hermetycznej intymności winidurowych ścian.

*Żywność nie pamiętała takich rzeczy. Żywność dopiero zaczynała czuć.
A jej pierwszym uczuciem był nieposkromiony głód...*

Kierownik domu studenckiego szczyrzył zęby, jakby samym tylko uśmiechem mógł przesłonić fatalny stan korytarza.

Daniel nie potrafił zdobyć się choćby na najmniejszy grymas zadowolenia. Doszedł do wniosku, że nawet tuzin śmiejących się do rozpuku klaunów nie odwróciłby uwagi od tego, co rozciągało się przed nim: zatechła kraina skrzypiących podłóg, szczerbatej boazerii i powygryzanych dywaników. Zdecydowanie nie było to coś, czego się spodziewał po wielkomięjskim akademiku.

Przypominało mu raczej o latach spędzonych w sierocińcu.

Tak czy inaczej, to moje pierwsze samotne mieszkanie – zmitygował się. A nikt mi przecież nie powiedział, że studenckie życie będzie usłane różami.

– To przez bilety, co? – zagaił wesoło kierownik.

Daniel spojrzął na starszego mężczyznę i nadział się wzrokiem na kolejny uśmiech. Tak przegniłe zęby zdecydowanie nie nadawały się do beztroskiego obnażania. Szczególnie w obecności postronnych.

– Co proszę?

– No, ceny biletów. – Mężczyzna wkroczył do środka, w kłęb kurzu, który równie dobrze mógł być chmurą grzybowych zarodków. Daniel ruszył za nim, dźwigając walizki. – Jeszcze jakiś czas temu akademiki były na wpół puste. Potem przysła podwyżka cen paliw, a wraz z paliwem – biletów. Nim się obejrzelśmy, domy studenckie były przepelnione i musieliśmy reaktywować tę... – wykonał dłonią nieokreślony gest – opuszczoną bursę.

– Raczej zapuszczoną.

– To fakt.

– Cóż, ja i tak bym nie dojeżdżał. – Nienawidził peronów, pociągów i wszystkiego, co się z nimi wiązało. – Mieszkałem dotąd w hostelu przy domu dziecka. Udało mi się dostać stypendium naukowe, więc jestem.

– Ach tak, rozmawialiśmy o tym w biurze. – Mężczyzna klepnął go zdrowo w plecy. – No, w każdym razie nie ma się co zniechęcać. Remonty zaczniemy podczas przerwy świątecznej, bo na razie nie ma budżetu. Ale zobaczysz, to miejsce jeszcze odżyje!

Minęli właśnie drzwi, zza których dochodziły niepokojące wrzaski. Daniel zorientował się, że to muzyka, dopiero gdy usłyszał przeciążony gitarowy riff.

– A ile osób mieszka w... tej...

– Bursa trzynaście – odpowiedział kierownik. – Znana też dawniej jako „King”. Swego czasu byłem tu na paru „królewskich” imprezach. Jestem pewny, że to po którejś z nich zamontowano w oknach kraty! – Jowialny mężczyzna puścił do niego oko. – Na razie mamy tu paru rezydentów. Widzisz, nie wszystkie pokoje nadają się do zamieszkania. W jednych nie ma ciepłej wody, w innych prądu; a ten na samym końcu korytarza nie ma nawet ściany! – Wskazał na odległe, czerwone drzwi. – Wynajmujemy tylko te najlepsze. Tak jak ten pokój. Numer dziewięć! Hm, a może to jest sześć? – Kierownik bez skrępowania sprawdził mosiężną cyferkę. – Nie, jednak dziewięć. Solidna dziewiątka. Twój nowy dom.

Daniel odstawił walizki na próg i odebrał z rąk kierownika klucz do pokoju. Z drzwi jego „nowego domu” odpadały płaty szmaragdowej emalii, a zawiasy trzymały się tylko na słowo honoru.

Mimo wszystko jednak było to miejsce, w którym miał spędzić przynajmniej kolejny semestr. *Zawsze to dach nad głową* – pomyślał. Na nic lepszego i tak nie było go stać.

Podziękował kierownikowi za wycieczkę po osiedlu akademickim. Mężczyzna radośnie obnażył żółtawe kły, potrząsnął entuzjastycznie jego dłonią, po czym odmaszerował, pogwizdując coś nieskładnie.

Drzwi bursy zatrzęsnęły się za nim.

Daniel oparł się o ścianę i przesunął dłonią po twarzy. *To będzie ciężkich parę miesięcy* – pomyślał. *Muszę zacisnąć zęby i jakoś je przebiedować... O, to dobre słowo: przebiedować.* Uśmiechnął się blado. *Robię to w końcu całe moje życie.*

Burczało mu w żołądku, ale jeszcze bardziej chciało mu się spać. Przekręcił klucz w zamku i wsunął się do pomieszczenia.

W świetle umierającego dnia, przepelniony długimi cieniami, pokój wydawał się klaustrofobicznie mały. Stolik i dwa krzesła na wprost; z lewej aneks kuchenny w postaci zlewu, kuchenki gazowej oraz niewielkiej lodówki; w kącie przy drzwiach szafa, a po prawej łóżko. Całość przedstawiała by się nawet przytulnie, minimalistycznie, gdyby nie przesycający wnętrze potworny zaduch, z ostrą nutą grzyba i kocich wymiocin.

Rzucił walizki na wykładzinę i przeszedł przez pokój. Mocował się chwilę ze starym oknem, nim zdołał je otworzyć przez kraty.

Chłodny wiatr omiótł mu twarz. Zaciągnął się świeżym powietrzem, porządnie, tak na zapas, a potem ściągnął buty i w ubraniu rzucił się na łóżko. Zmęczony podróżą i całodziennym zwiedzaniem, zasnął, gdy tylko zamknął powieki...

Jakiś czas później zerwał się na nogi, posłyszawszy pisk.

Na zewnątrz zapadł już zmrok. Pokój pogrążył się w ciemnościach, łagodzonych jedynie naturalną łuną miasta. Okno wpuszczało do środka jesienny przymrozek. *Jak w pieprzonej chłodni.* Daniel zadrżał, opuścił podwinięte dotąd rękawy koszuli i rozejrzał się za źródłem dźwięku, który wyrwał go ze snu.

– *Mmwaaaaaaahhh!*

Wysoki, przenikliwy wrzask sprawił, że aż podskoczył. Coś ewidentnie żywego szamotało się w okolicy przepierzenia, za którym znajdowała się kuchnia. Słodko-kwaśny

opar zgnilizny unosił się w powietrzu, mimo że pomieszczenie wietrzyło się od co najmniej paru godzin.

W głowie Daniela odezwał się ostrzegawczy dzwonek, ale natychmiast go zignorował.

To pewnie bezpieczne koty – uspokajał się, stąpając boso ku hałasowi. Nigdy co prawda nie słyszał, żeby kot tak wrzeszczał, wołał jednak nie myśleć o alternatywach: szczurach, myszach czy karaluchach-mutantach. Przeszedł bez szmeru naokoło stołu i wyrzwał w kierunku zamieszania.

Chłód przerażenia zamroził go w bezruchu.

Faktycznie, był to kot. Ale nie sam.

Drzwiczki lodówki były uchylone, a z jej wnętrza wytaczało się... wypływało... wypelzało... coś absolutnie odrażającego. Ta tłusta, ociekająca sokami żołądkowymi masa pochłaniała czarnego kocurka, wsysając go do wnętrza kleistymi wypustkami. Z głuchymi plaśnięciami wypadało jej z lodówki coraz więcej i więcej – pęczniejące ropą horrendum, półprzezroczyste w bladej poświacie nocy...

Kocie pazury darły spazmatycznie o dywan. Z donośnym mlaśnięciem masa wciągnęła zwierzę w otchłań swego cielska i niczym rosiczka zaczęła rozpuszczać jego zewłok na przyswajalne składniki. Odór ściennego grzyba przybrał na sile, tumaniąc zmysły.

Daniel czuł się tak, jakby żelazna pięść zacisnęła się na jego żołądku. Ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Patrzył bezradnie, bez zrozumienia, jak cuchnące monstrum pełźnie po podłodze, zostawiając za sobą ślimaczą ścieżkę mazi.

Zajął mu chwilę, żeby pojąć, że to coś zmierza w jego kierunku.

Rzucił się gorączkowo do drzwi, wypadł na korytarz, zaczął bębnić pięściami do drzwi pokoju naprzeciwko. Nikt nie odpowiadał. Śmiertelna cisza owinęła się wokół bursy jak jedwabny kokon. Dysząc ciężko, obejrzał się za siebie. Potworna masa była tuż-tuż – szybsza, bardziej żywotna niż podejrzewał.

Uskoczył przed jej wypustkami i cofnął się o krok. Tutaj, w świetle korytarza, widział ją wyraźniej. Jej powierzchnia, niczym plama benzyny, iryzowała brunatnymi, atramentowymi i zgniłozielonymi odbłyškami. Groteskowy martwy kot rozpuszczał się w jej wnętrzu, bezwłosy jak sfinks, cętkowany kwasowymi plamami.

Koszmarne widok odblokował jego krtań. Daniel wrzasnął.

Za jego plecami trzasnęły drzwi. Stała w nich czarnowłosa dziewczyna, wybałuszając oczy na pełzający organizm. Malujące się na jej twarzy niedowierzanie i strach nadały jej wygląd sarny schwytej w światła auta.

Niewiele myśląc, Daniel dopadł do jej pokoju, bez pardonu wepchnął ją do środka i zatrzaskał drzwi.

W absolutnej ciszy, skuleni przy framudze, czekali na jakikolwiek znak, że istota zniknęła. Z korytarza nie dobiegał jednak nawet najlżejszy szmer.

Daniel spoglądał w oczy czarnowłosej dziewczynie, nie śmiejąc przerwać milczenia. Była bardzo ładna, miała kolczyk w nosie oraz koszulkę z zespołem, o którym nigdy przedtem nie słyszał. Próbowła zachować zimną krew, ale dolna warga drżała jej niekontrolowanie, zdradzając nerwowość.

Długie minuty przerodziły się w kwadrans. Daniel odważył się w końcu poruszyć ścierpniętą szyją i rzucił spojrzenie na pokój, w którym się znalazł. Na biurku pod oknem płonęła aromatyczna świeczka, wymalowując na ścianach roztańczone cienie. Przezroczysta taśma przytrzymała na ścianie kilka plakatów metalowych kapel. Daniel przypomniał sobie, że to właśnie z tego pokoju słyszał wcześniej ciężką, złowróżbną muzykę.

W końcu przedstawili się sobie szeptem. Na imię miała Monika. Wymienili jeszcze kilka uwag półgłosem, nim w końcu zdecydowali się rozluźnić i usiąść wygodniej, barykadując plecami drzwi.

– Mówisz, że jesteśmy tu sami? – powtórzył Daniel.

Monika przytaknęła, nie przestając obgryzać paznokci.

– Myślałam, że mam to miejsce dla siebie. Przyjechałam tu ledwie przedwczoraj. Więc skoro nikt się nie kwaterował przed tobą, to tak, jesteśmy tu tylko we dwoje.

– I na pewno nie masz przy sobie komórki?

Prychnęła z nagłą irytacją.

– Sęk w tym, że nigdy nie miałam. Rodzice zawsze byli przeciwko. Promieniowanie do mózgu i te sprawy. Mam laptopa, ale nie sądzisz chyba, że złapiemy tu wi-fi?

– Może by jednak...

– Próbowalam – ucięła. – Wierz mi.

Umilkli na dłuższą chwilę. Napięcie w powietrzu było niemal namacalne. Żadne z nich nie chciało zacząć tego jednego tematu, który sam nasuwał się na język.

– Co... – odezwała się w końcu Monika. – Co to w ogóle było?

– Nie mam pojęcia – przyznał szczerze. Objął ramionami drżące kolana. – Takie rzeczy... one nie mogą brać się znikąd. Zapomniane miejsca naznaczone złem. Porzucone, zaklęte przedmioty. Starzy bogowie. Kto wie, z czym mamy do czynienia? Jeśli to ukrywało się tu od dłuższego czasu, musi być strasznie głodne. Wiem, jak to jest. W sierocińcu...

Urwał nagle i zmieszany odwrócił wzrok. Nie chciał o tym mówić.

Było za to jeszcze coś. Uciążliwa myśl, którą starał się wytłumaczyć od samego początku.

– Myślę... myślę, że to wyszło z mojej lodówki.

– Z lodówki? W sensie... ktoś zostawił tam żarcie, kiedy to miejsce było jeszcze używane? A ono się zepsuło? – powiedziała, skrzywiwszy się. – Może i studenci to w większości niechluj, ale żeby aż...

– Wiem, jak to brzmi. Tyle razy ludzie żartują: „Ta kanapka sprzed tygodnia zaraz zacznie chodzić!”. Albo: „Brudy pod twoim łóżkiem wynalazły już koło!”. Ale może jest w tym jakaś racja, co? Kefiry, sery pleśniowe, zsiadłe mleko... To wszystko ma w sobie życie. Bakterie, pleśnie, grzyby, pierwotniaki, mikroorganizmy...

– Nazywasz to życiem? – Monika pociągnęła nosem. Daniel zauważył, że w kąciakach jej oczu zbierają się łzy. – To coś bez zastanowienia pożarło bezbronny kotka! Wchłonęło go w siebie i... i...

Zmarszczył brwi.

– Skąd o tym wiesz?

– Słyszałam go. To był mój kot. Kot Shoggoth. – Uśmiechnęła się do siebie. – Jedyna pociecha. Kochana kicia, która teraz rozkłada się w żołądku... w ciele jakiejś pieprzonej plazmy z kosmosu! – Ukryła twarz w dłoniach. – A my jesteśmy następni!

Daniel chciał jej powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie potrafił. Czuł się równie bezradny, jak wtedy, gdy był dzieckiem i rodzice porzucili go na peronie.

Porzuceni. Otóż to. Wszystko wskazywało na to, że byli jedynymi studentami w bursie trzynaście. Odizolowany od reszty osiedla, parterowy budynek krył się wśród rozplenionych w labirynt chaszczy. Najbliżej była stołówka – ale nawet gdyby krzyczeli przez całą noc, i tak nie było tam nikogo, kto mógłby ich usłyszeć. Jedyne, na co mogli liczyć, to że ktoś zapanuje się w krzaki z potrzeb fizjologicznych. Ale na to szanse wydawały się zbyt marne.

Daniel podjął decyzję.

– Wynosimy się stąd – oznajmił, dźwigając się na chwiejne nogi. Podwinął rękawy i wyciągnął dłoń w kierunku Moniki. – Wyjrzymy przez judasza, czy tej masy nie ma na korytarzu. A potem sprintem do drzwi wejściowych. To najlepsze wyjście.

Monika otarła łzy i wolno pokiwała głową.

Gdy jak najciszej wybiegli na korytarz, w nozdrza uderzyła ich woń piżma. Szczęśliwie, monstrum nie było jednak nigdzie w pobliżu. Daniel jako pierwszy dopadł do ciężkich drzwi i szarpnął za klamkę.

Zamknięte.

Nacisnął raz jeszcze, napał ramieniem na ciężką płytę.

Nic. Ani drgną.

Poniewczasie zauważył grube zatrzaski, zupełnie niepasujące do studenckiej bursy.

To koniec – pomyślał. Ostatnia droga ucieczki została odcięta.

Monika z niedowierzaniem wpatrywała się w rygle. W jej oczach bladła nadzieja.

– Kto nas tak zamknął? – warknął Daniel przez zęby.

– Jeszcze wczoraj te drzwi były otwarte – odparła szeptem. – Wychodziłam do nocnego po fajki. To mała bursa, nie ma portiera. Jedyne klucze są u kierownika.

Kierownik... Potworna myśl zaświtała w umyśle Daniela. Przypomniał sobie, jak jeszcze w ciasnym gabinecie, kierownik wypytywał go o życie w sierocińcu, o okoliczności zniknięcia rodziców, o najbliższych krewnych... Zupełnie jakby upewniał się, że nie ma nikogo, kto by go szukał.

– Twoi rodzice – zaczął, nachylając się ku Monice – czy oni...

– Nie żyją – odpowiedziała cichym głosem. – Zginęli w pożarze, dwa lata temu. Od tamtego czasu mieszkałam sama. No, z Shoggothem... – Zagryzła pięść, by się nie rozplakać.
– Był kotem ojca. Jedyne, co mi zostało po rodzinie!

Boże święty! O mało co nie wykrzyczał tego na głos. *Nie ma nikogo, kto by nas szukał! Oni dobrze wiedzą o tej istocie. Jesteśmy dla niej karmą. Żywnością. Wypuścili ją tu na żer!*

Poczuł na karku skraplający się pot. Stał nieruchomo, wpatrzony w korytarz, na który w każdej chwili mogła wypełznąć nienasycona, ciastowata masa. Pod sufitem cicho pyrkala jarzeniówka, zaciemniona do połowy warstwą martwych owadów. Daniel czuł niemalże, jak wszystko wokół niego się sypie, rozpada, przedzierzga w ruinę pełną kurzu i zapomnienia.

Kierownik go okłamał. Nikt nie zamierzał wyremontować tego miejsca. Nie naprawią ciepłej wody czy prądu, nie załatają... załatają...

Wspomnienie tamtej rozmowy otrzeźwiło go na krótką chwilę. Chwycił Monikę za dłoń i odwrócił ku sobie.

– Jest jeszcze wyjście.

– Jakże? Nie przebijemy się, a to jedyne drzwi! Nie przecisniemy się przez kraty, nikt nie usłyszy...

– Pokój na końcu korytarza – przerwał jej ostro. – Dziura w ścianie. Biegiem!

Posłuchała natychmiast. Ręka w rękę rzucili się sprintem po zjedzonym przez mole dywanie. Ostatnie po lewej czerwone drzwi majaczyły w perspektywie korytarza, obiecując

zbawienie. Pędzili na złamanie karku, nie zważając już na hałas czy ostrożność – byleby jak najprędzej dotrzeć na miejsce.

Daniel wysunął się na przód, mimo że biegł bosy. Monika potykała się tuż za nim, łkając cicho.

Zamknięte drzwi śmigały obok nich. Minęli jej aromatyczny pokój, jego zatęchłą kwaterę, połowę korytarza, łazienkę...

BLOOP.

PLASK!

– Aaaa! Nieeeeeeeee!

Z odgłosem rozpryskującego się szlamu masa wypadła z łazienki i uwięziła łydki Moniki. Dziewczyna sapnęła, straciła równowagę; jej dłoń wyslizgnęła się z uścisku Daniela.

Zaklął siarczyście i obejrzał się za siebie. Czerwone drzwi były już tylko o parę kroków. Jednak tuż przed nim, osnuta waporem rozkładu, Monika tonęła w ożywionej mazi, drapiąc paznokciami po dywanie zupełnie jak jej kot. Rozpaczliwie chwyciła się wygryzionej dziury i trzymała najmocniej jak potrafiła. Nogawki jej dzinsów syczały, wstępnie trawione enzymami bulgoczącej istoty.

Spojrzała na niego wielkimi oczami, bezradna i niewinna. Równie niewinna co porzucone na peronie dziecko.

Daniel zacisnął zęby. Nie miał zamiaru i tym razem być ofiarą losu. Sierotą. Wiecznie i we wszystkim kimś gorszym, podczłowiekiem.

– Pamiętaj! – wrzasnął na paskudztwo, przekonany, że jakąś częścią go zrozumie. – Pamiętaj, że to ja cię nakarmiłem!

– Co? – pisnęła Monika.

– Weź ją i zostaw mnie!

Nadepnął jej na dłoń, gruchocząc kości palców. Wrzasnęła i mimowolnie puściła się dywanu. Galaretowata toń przyciągnęła ją ku sobie...

Odwrócił się i umknął na koniec korytarza. Monika krzyczała za nim, zrozpaczona, podczas gdy monstrum zaciekle walczyło o zdobycz. Starając się nie myśleć o tym, co właśnie zrobił, Daniel pchnął czerwone drzwi i wkroczył w światłość...

Zamrugał oczami. Pomieszczenie wypełniała oślepiająca biel. Chirurgicznie białe ściany, podłogę i sufit rozcinała w pół ogromna, pancerna szyba. Tuż za nią tłoczyli się ludzie w nieskazitelnie białych kombinezonach; niektórzy z podkładek do notowania, inni

z dziwacznymi miernikami. Czarne były tylko obudowy telewizorów, wyświetlających obrazy z ukrytych kamer.

Na jednym z nich amorficzna pecyna sunęła leniwie korytarzem. W jej wnętrzu, niby jakaś nieszczęsna topielica, unosiła się wzdęta, kobieca postać o ustach rozdziawionych w niemym krzyku.

– Nie...

Załamaly się pod nim kolana. Klęczał tak, bez zrozumienia spoglądając na ludzi w kombinezonach: pozbawionych twarzy, zatopionych w swoich danych i obliczeniach. Nie było tu żadnej dziury w ścianie, żadnej ucieczki. Tylko ofiary z ludzi, testy kliniczne i zimne, naukowe obserwacje. W wyobraźni widział tezy i pytania ich eksperymentów. Jak zachowa się istota, gdy ktoś wkroczy na jej terytorium? Jak szybko się porusza i czy można ją przegonić? Ile może strawić w ciągu doby? Wszystko, co straszne i nieznanne – teraz już dokładnie zmierzone i obliczone. Dzięki nim.

Fetor zmurszałej mogiły buchnął zza jego pleców. Daniel nie poruszył się z miejsca. Poczul chłód, gdy galaretowata masa dotknęła go po raz pierwszy – fałszywe zimno, które już wkrótce przerodziło się w kwasowe ognie gehenny, a... *chwilę później Żywność czuła już tylko głód.*



Miniporadnik dla debiutujących pisarzy

Jak zostać pisarzem lub pisarką? O dziwo, na ten temat można znaleźć w Internecie wiele poradników. Są tutaj także wydawnictwa oferujące od zaraz wydanie Twojej książki. Pytanie brzmi – gdzie jest haczyk?

Jeśli zamierzasz zadebiutować pisarsko, a nie chcesz się naciąć na naciągaczy, powinieneś zwrócić uwagę na kilka spraw:

1. Nigdy nie wysyłaj od razu całego tekstu, który chcesz opublikować. Profesjonalne wydawnictwo zazwyczaj oczekuje 10-20% treści książki oraz planu lub skrótu całej fabuły, by określić, czy jest zainteresowane współpracą.
2. Czasem lepiej poczekać. Jeśli rozesłałeś swój skrypt do kilku wydawnictw, poczekaj co najmniej miesiąc na ich odpowiedź. Nie zgadzaj się na propozycję pierwszego, które wyrazi zainteresowanie.
3. Zwróć uwagę, czy na stronie wydawnictwa, do którego się zwracasz, są zamieszczone dane firmy, takie jak: adres, telefon, NIP i REGON. Jeżeli ich nie ma, zapytaj, czy wydawca posiada zarejestrowaną działalność gospodarczą, nim wyślesz jakikolwiek plik.
4. Czytaj uważnie umowę. Nie zgadzaj się na zmiany merytoryczne książki bez Twojej wiedzy. Dobry wydawca będzie je z Tobą konsultował. Zwróć uwagę na czas udzielenia licencji wydawnictwu oraz jej charakter wyłączny lub nie. Wbrew pozorom najlepszym wariantem dla Ciebie jest udzielenie wyłączności wydawnictwu, ale z zastrzeżeniem terminu.
5. Nie płać. Nie zgadzaj się na żadne opłaty ani nie zobowiązuj się do kupna egzemplarzy książki. Nawet jeśli jesteś debiutantem, uczciwy wydawca powinien zaproponować Ci podział zysków. Na początku Twój procent może być nieduży z uwagi na ryzyko, jakie wydawnictwo ponosi w przypadku nieznanego autora. Masz jednak pewność, że jeśli za rok czy 5 lat książka okaże się hitem wydawniczym – dostaniesz swój udział.

6. Zapytaj o formy promocji. Masz prawo poprosić o linki i przykłady strategii reklamowych.
7. Nie lekceważ potęgi Internetu. E-booki i wersje elektroniczne czasopism stanowią przyszłość kultury czytelnicy z uwagi na to, że coraz częściej mamy przy sobie urządzenia mobilne, umożliwiające nam w dowolnym czasie pobieranie i czytanie interesujących nas informacji. Warto też założyć sobie i swojej książce bloga lub chociaż profil na FB.
8. Uwierz w siebie, bo nikt tego za Ciebie nie zrobi. Nawet jeśli kilka razy przysłowiowo odbijesz się od drzwi, nie trać nadziei. Poproś o podanie powodu odrzucenia

Szukasz przyjaznego młodym autorom wydawnictwa?

Wydawnictwo Książkożerca to coś więcej niż kolejne wydawnictwo internetowe. To jedna z niewielu niezależnych wysepek kulturalnych, które trwają w cyberprzestrzeni pośród zalewu trendów zachodnich. W myśl powiedzenia, że „Polacy nie gęsi, iż swój język mają” wyznaczamy trendy współczesnej literatury polskiej i staramy się przetrwać. :)

Nasze wydawnictwo promuje młodych, nieznaną poza Internetem autorów oraz niezależnych specjalistów z różnych dziedzin nauki i paranauki. Nie boimy się eksperymentów literackich oraz trudnej tematyki, spychanej przez monopolistów rynku księgarskiego do strefy tabu. Nadszedł czas, by różewiczowskie tematy ściśniętego gardła zostały rozwinięte, a niekomercyjni pisarze znaleźli dostęp do polskiego czytelnika.

Książkożerca to nie tylko otwartość na nowe trendy, to również wieloletnie doświadczenie w pracy z tekstem i znajomość polskiej tradycji wydawniczej. Główną formą publikacji są e-booki i m-booki, czyli książki wydawane w formie elektronicznej. Wydawnictwo nie tylko bowiem stawia na młodych, zdolnych autorów, ale również jako pierwsze przygotowuje swoje publikacje w oparciu o badania nad higieną wzroku przy korzystaniu z urządzeń mobilnych oraz komputerów.

Estetyczne ustawienie tekstu, właściwie dobrana czcionka oraz odpowiednie przestrzenie międzywierszowe sprawiają, że z przyjemnością zabierzesz w podróż książkę, która nie obciąży Twojego bagażu.

Gramy fair play

Współpraca autorów z Wydawnictwem Książkożerca jest oparta na jasnym podziale zysków za każdą pobraną publikację, dlatego nie musisz bać się, że podpisujesz cyrograf i w przypadku sukcesu zostaniesz nabyty w butelkę.

Jak się zgłosić?

Wyślij konspekt książki (krótkie streszczenie, najchętniej w punktach) wraz z początkowym fragmentem tekstu o objętości 10% całości na adres **wydawnictwo@ksiazkozerca.pl**. Pamiętaj, aby w treści maila podać swoje dane kontaktowe, jak telefon czy adres e-mail. Nie musisz obawiać się, że Twój mail zostanie pominięty, wysyłamy potwierdzenie odbioru każdego zgłoszenia. Prace są czytane wedle kolejności ich nadsyłania.

Nie jesteś przekonany?

Nie musisz wierzyć na słowo. Zajrzyj do naszej Księgarni (ksiazkozerca.pl/ksiegarnia) i skorzystaj z możliwości ściągnięcia e-booków. Teraz także za darmo!

Alicja Złotkowska

Prezes Wydawnictwa Książkozerca







Jeśli
piszesz
horro-
ry,
wiedz,
że HIS-
TERIA
się
tobą
intere-
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

magazynhisteria@gmail.com

